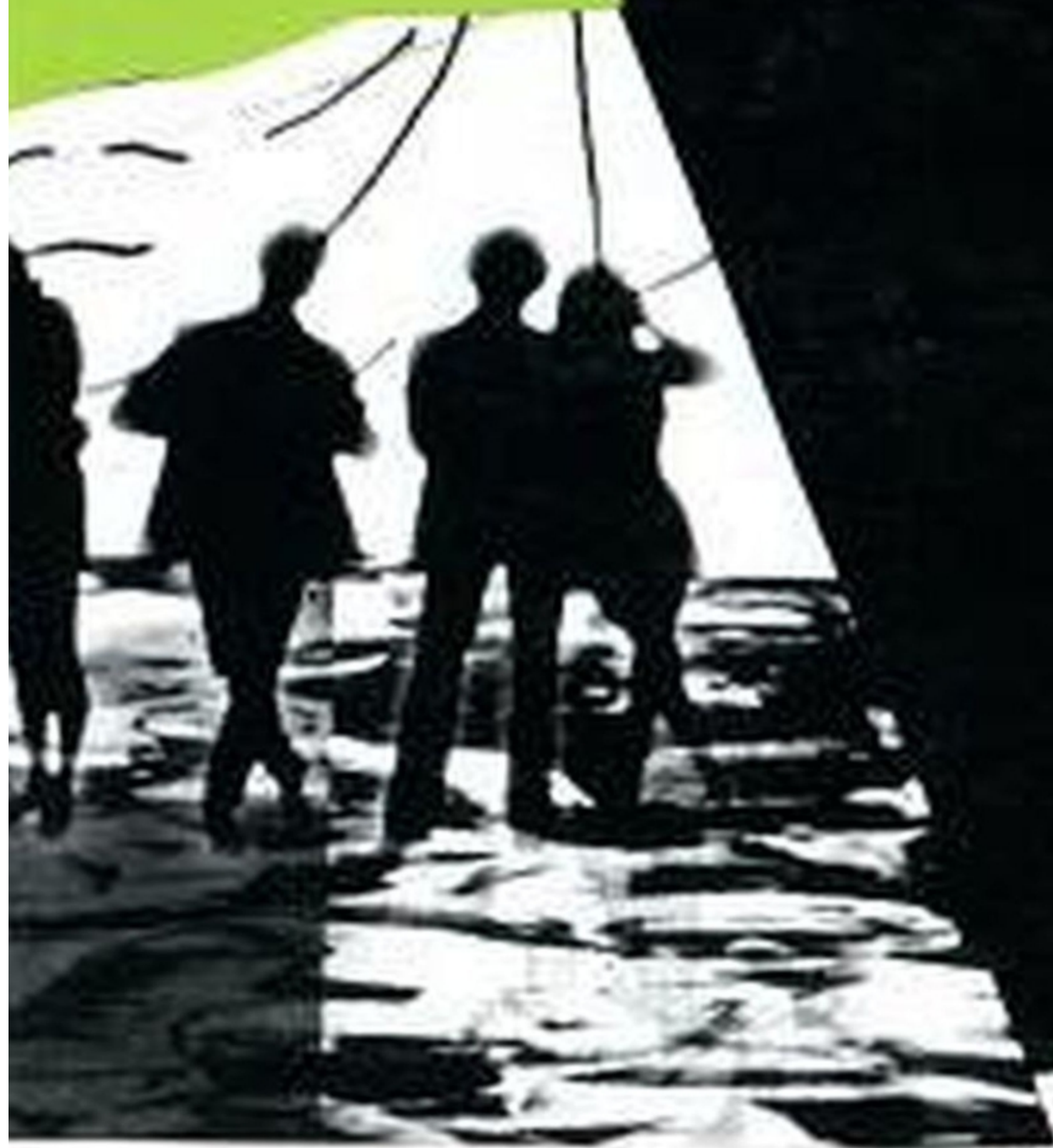


ASPIRACJE



Nr 11-12 /45-46/ 2009

ASPIRACJE

**MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH**

NR **11/12** /45/46/
PAŹDZIERNIK, 2009
TARNÓW

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP
ul. Staszica 6, tel. 688 80 23 w. 28
was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy:

ZBIGNIEW MIROSŁAWSKI

opracowanie graficzne okładki:

KRYSTYNA BANIOWSKA-STĄSIEK

wydawca

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

im. Juliusza Słowackiego
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4
tel. 014/688-80-23/4 tel/fax 622-20-93
e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl
www.biblioteka.tarman.pl

Łamanie i druk:

Zakłady Graficzne „Drukarz” sp. z o.o.
33-100 Tarnów, ul. Brodzińskiego 1
tel. (0-14) 621-22-46

Tarnów – październik 2009

Z satysfakcją oddajemy w ręce PT. Czytelników kolejny, podwójny, już 11/12(45/46)/2009 numer „Aspiracji”. Jak zawsze sporo w nim poezji naszych stałych autorów: Zuzanny Abrysowskiej, Urszuli Banaś, Moniki Chytróś, Izabeli Iwańczuk, Zbigniewa Mirosławskiego, Mariusza Mitery, Dariusza Romanowskiego, Jacka Tryby. Są goszczący na naszych łamach: Maksymilian Tchoń, Paulina Tomaszewska, Olga Wałaszek, Krzysztof Maniak, Bartosz Baran ale też „debiutujący” u nas: Delilah Panaglima z Filipin, Dorota Beniowska, Monika Brożek, Filip, Oliwia Jarosz, Adam Rajski, Krzysztof Kunisz, Ewa Tomaszek, Daria Tyro i Magdalena Lis.

W prozie przeczytamy teksty: Gabrieli Dulian, fragment większej całości pt. „Persefona”, Jacka Knapczyka publikującego już wcześniej na naszych łamach pod pseudonimem Lorius, miniaturę pt. „Thanatos”, Oliwii Jarosz opowiadanie pt. „Drzwi”, Zbigniewa Mirosławskiego, recenzje książek Roberta Stańczyka i Izabeli Iwańczuk, Jerzego Reutera, opowiadanie pt. „Masaj Jakaya”, Dariusza Romanowskiego kontynuacja analizy zawartości pisma „Kłosa”.

Jesień 2009 roku skłania nas do zwrócenia szczególnej uwagi na teksty tematycznie związane z 70 rocznicą wybuchu II wojny światowej. Są to: „Niemiecki Bóg” Moniki Chytróś i „Sosen rzędy...” Zbigniewa Mirosławskiego, także tegoż autora scenariusz przedstawienia opartego na tekstach redaktora Ryszarda Lisa, opublikowanych w książce pt. „Niepokonani”, wydanej nakładem naszej biblioteki.

Zapowiedzią listopada i pamięci o tych którzy odeszli są wymienione powyżej dwa opowiadania: Jacka Knapczyka pt. „Thanatos” i Oliwii Jarosz pt. „Drzwi”.

Wiosną organizowaliśmy „Porę Poezji”. Ponieważ obecny numer jest pierwszym w tym roku (dlatego podwójnym tj. 11-12) zamieszczamy w nim także relacje z tej imprezy, odbywającej się w ramach Festiwalu „4 Pory Książki”. To największy ogólnopolski festiwal literacki w 2009 r. Trafia do ponad 30 miast i miejscowości.

Jego organizatorem jest Instytut Książki w Krakowie przy współudziale ok. 25 instytucji i stowarzyszeń m.in. Korporacji Ha!art, Stowarzyszenia „Fabryka Bestsellerów” w Białymstoku, Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalno-Literackich „Metasfora” w Katowicach i licznych bibliotek m.in. w Gdańsku, Elblągu, Opolu, Tarnowie i Rzeszowie. Wśród gości, gwiazd światowej literatury, w Festiwalu uczestniczyli: Borys Akunin, Eduard Mendoza, Jonathan Carroll, Dubravka Ugresic, Siergiej Lukjanienko, Niel Geiman czy Michel Faber.

W bieżącym roku w Festiwalu – „Porze Poezji” uczestniczyli na przykład w Białymstoku – Marzanna Bogumila Kielar, w Gdańsku – Ariana Nagórska, Paweł Huelle i Natalia Usenko, w Opolu – Piotr Matywiecki, Andrzej Sosnowski, Zbigniew Machej, w Krakowie – Wisława Szymborska (promocja tomu poezji pt. „Tutaj”), Marian Stala, Marcin Baran, Wojciech Bonowicz i Jacek Dehnel, w Bydgoszczy – Urszula Koziół, Elżbieta Adamiak, Janusz Drzewucki, Krzysztof Karasek i Stefan Pastuszewski.

Można by wymieniać dłużej miasta i znamienitych autorów, Romualda Mieczkowskiego z Wilna i Dorotę Jaworską z Kijowa goszczących w Rzeszowie czy Adama Wiedemanna, Dariusza Sośnickiego, Mariusza Grzebalskiego, Jacka Podsiadło, spotykających się ze swoimi czytelnikami we Wrocławiu. Co dotyczy jednak przede wszystkim Tarnowa? W pomieszczeniach Miejskiej Biblioteki im. Juliusza Słowackiego i przy „Ławeczce Poetów” na ulicy Wałowej spotykaliśmy się w dniach od 11 do 16 marca z Adamem Ziemianinem, Izabellą Klebańską, Elżbietą Wojnarowską, Elżbietą Zechenter-Spławińską i z poezją Ewy Lipskiej.

Spotkania z Adamem Ziemianinem i twórczością autorki „Domu Spokojnej Młodości” prowadził Zbigniew Mirosławski. Członkowie naszej Grupy: Dariusz Romanowski, Monika Chytróś, Robert Stańczyk, Urszula Banaś, Mariusz Mitera i Ola Wałaszek stoczyli poetycki pojedynek z reprezentantami krakowskiej grupy „Sylaba”, działającej pod artystyczną opieką Elżbiety Zechenter-Spławińskiej.

Adam Ziemianin promował wydany właśnie tomik poezji pt. „Co za szczęście”, Elżbieta Wojnarowska powieść pt. „Anemo-

ny”. Towarzyszyli jej grający na gitarze mąż Wojciech Wojnarowski i na kontrabasie – syn Piotr. Mieliśmy okazję wysłuchać poetyckie „przeboje” lat 70-tych w wykonaniu Elżbiety i Wojciecha Wojnarowskich np. „Był sobie skrzypek Schercowicz”, „Rebeka”, „Szewczyk”.

W sobotni słoneczny poranek mieszkańcy Tarnowa zaskoczeni zostali przy „Ławeczce Poetów” strofami poezji członków Grupy Autorów czytanyymi przez Zbigniewa Mirosławskiego i Mirosława Poświatowskiego. Zabrzmiały „tabletki ze słów” według recepty Jana Rybowicza, Dominiki Brzostowicz, Uli Banaś, Bartka Barana, Eweliny Bigdy, Gabrysi Dulian, Beaty Kuta-Furlanetto, Pawła Mazura, Zbigniewa Mirosławskiego, Andrzeja Mleczki, Mariusza Mitery, Anny Mróz, Klary Reiskittel, Darka Romanowskiego, Roberta Stańczyka, Anny Szymańczuk, Pauliny Tomaszewskiej i Jacka Tryby. Usłyszano na przykład: „Nikt nie prowadzi Biura Poezji Zagubionej”, „Jestem chociaż być tak trudno”, „W oczach coraz mniej odłamków szkli się ogniem”, „Ludzie nie siedźcie przed telewizorami, idźcie do biblioteki”.

Leszczyc

POEZJA

Motto: *„Nie straszyl szkielet w one lata,
Gdy kwitla balwochwalcza sztuka;
Chlonqc zmyslowe piekno swiata,
Innego czlowiek juz nie szuka.”*

Teofil Gautier, „Emalie i kamee”

*„Nie tak jaguar ulizany
Porazajqce kocie wonie
w nadrzewnym destyluje mroku,
Jak panna Griszkin w swym salonie.
Nawet Istoty Abstrakcyjne
W jej wdziqkw krqcq siq orbicie;
Lecz my wsr6d suchych tkwimy zeber,
W swq metafizykq tchnqc życie.”*

Thomas Stearns Eliot,
„Poszepty o nieśmiertelności”

Filip

„Utnapisztim”

Skoro znów tu jesteś
Gilgameszu

i wiemy o sobie
wszystko
co wiedzieć powinniśmy

mogę wyjawić ci to co poznałem
o sztuce nieśmiertelności

Uwierz zbierałeś jej krople
gdy poprzez kurtyzanę Szamchat
nauczyłeś człowieka ze stepu
jak trzymać kobiecą dłoń
przyjmować jej oddech
jak czuwać nad jej snem

gdy przemierzałeś dwanaście mil w ciemnościach
by móc podziwiać
piękno diamentowych przestrzeni
nie mogąc objąć ich umysłem

wreszcie poznałeś Siduri
karczmarkę która prozaiczność życia
odmierza w naczyniach

zdobywałeś nieśmiertelną siłę
gdy za jej namową zwątpiłeś
pragnąc wrócić
do dziecka które trzyma za rękę
kobiety którą radują objęcia twoich ramion

i gdy z ich obrazem w pamięci
ruszyłeś dalej

Mówisz
wąż pożarł moją roślinę życia

uwierz nie ma mocy
która zdołałaby cię przed tym uchronić
pomyśl o tej prawdzie
i groźbie jej nie odkrycia
nie nazywaj swojej podróży daremną
bowiem zdobyłeś więcej niż potrafisz pojąć
Wracaj
dopełnij przeznaczenia
niech ludzie podziwiają
mury twojego Uruk

„Magnus?”

w całym tym zamieszaniu przyjaźni i polityki
Teodotowi przypadła szczególna rola
arbitra historii
sąd odbywa się nad Pompejuszem
jego wyrok brzmi Farsalos
i obnażenie wszystkich błędnych decyzji
cieszy ściętą głowę Papiriusza Carbo
zupełnie jakby wiedział –
bezlitosna przyszłość nie uwierzy Plutarchowi
tak samo jak jemu
uchylenia od wyroku nie ma
zamiary skrytobójców
siedzących w łodzi z wolna zbliżającej się do statku
ani na moment nie były tajemne
przekonuje mnie Pompejusz
który całuje piękną Kornelię
i nie waha się wsiąść do łodzi
przekonuje mnie
oburzenie samego Cezara

„Bóg uczynił deszcz”

Bóg otworzył sklepienie
uczynił deszcz

kobieta przekroczyła wtedy próg domu mężczyzny
po raz pierwszy

spojrzał na mokre brązowe ramiona
i pokochał kolory ziemi
a gdy jej usta i oczy stały się złote
blaskiem rozpalonego ognia
zechciał żyć bogactwem światła

szukał więc
gubił narody i tworzył je
dotykał pustych ciał wszechświata
spisywał nawet języki drzew i ryb

Bóg znów otworzył sklepienie
mężczyzna wrócił do kobiety

poznał jej głos włosy usta
i pokochał kobietę

„Zostawiam okulary”

minus cztery dwadzieścia pięć
oznajmił dobrotliwy pan
zaglądając rzeczowo w oczy

więc zostawiam okulary u optyka i
świat w jednej chwili namalował jakiś
niedbały Renoir

zamilkły napisy sklepowych witryn
autobusy nie chcą zdradzić dokąd jadą
Afryka od nowa opowiada mi swój kształt

do historii Polski skracam dystans
na odległość wyraźnych liter

bywa także koszmarne
już wiem co znaczy
anonimowość tłumu
tylko kształty i głosy
chronią przed anonimowością najbliższych
świat rozmazany jak impresjoniści
i tylko oczy bolą zmęczone
szukaniem szczegółów jak Boga

Maksymilian Tchoń

****(barańczak pisał)*

barańczak pisał że
żyjemy i zdaję sobie z tego sprawę w określonej epoce
nawet bez końca i początku początku i środka
i het tam gdzie zielone trawy się czerwienią

****(odwołując się)*

odwołując się do Kanta
jest rzeczą samą w sobie
doznaje przeżywa
tudzież wchodzi w zależność
szczyptę banalnie
szczyptę banalnie

„Ab ovo przyjacielu”

Zjadł ryby na kolację
poszedł spać
rano
dowiedział się że to dobry sposób na depresję
studiował polonistykę
nieobca mu była filozofia Descartesa:

„Bóg jest oszustem rozumu
dobrze zamaskowanym pod skrzydłami teologii”

swoją wiedzę oparł na dialogach
kajdaniarzy
niezmienny niebaczny
w doświadczeniu
mocno zaciskał pięść na widok Hostii
za jego plecami

palil się ogień

Tarnów 10.06.2007

„Pielgrzymka”

Szliśmy uliczką wiary i niepewności,
o nie do końca hierarchicznej budowie.
Po obu stronach bunt i heroizm,
ukryty w zapachu gotyckich katedr,
(jakże pięknie strzelistych i ostrołukowych).

Nie czułem się wybrany:
bo śmiertelność to zabawa nie dla zmysłów
(i niewierzących, w kult pokutnych wędrówek).

Wpatrzony zdziwieniem w latające ewangeliarze,
wyliczałem kolejne fasady,

niestety nie do zdobycia.

Tarnów 2007

„Teza”

z Czesława Miłosza

To przecież jasne,
że nikt nie odważy się m?ić tego, co naprawdę
myśli.

I ja, i ty, nie ubrani
w żadną ze szkół boskich filozofów,
nie będziemy w stanie słuchać głosu czystego serca,
(nawet na tematy stricte polityczne).

A kiedy, jeśli zapytają mnie o imię,
odpowiem: Miłosz.

Odpowiem: Miłosz!

Tarnów 2007

„nie tak się wydawało”

wydawało się takie proste
prawie jak
czekanie na grzech i powietrze
włos i aksamit
może

w piersi nie biją po trzykroć

cudze dłonie

może

woda jest tylko oliwą

do rzeczy

najpierwszych

dziupla, 15 października 2006

„wiersz”

nie bój się dni które uciekają
w zeszłym roku o tej porze padał deszcz teraz
zima zmieniła swój charakter

ja ten sam

schowany pod piętą achillesa

odciskam ślady swoich przodków

wierzchołków

łez

Tarnów 08

Krzysztof Kunisz

„AA”

Nasza najbardziej namiętna kochanka
Chodzi dookoła stołu, drżąc
Już szepce nam w głowach
Gdy ostatnia gorycz naszego wyboru
Przelewa się nam przez zaciśnięte
W sztucznym uśmiechu wargi
Przechodzi delikatnie
Po naszych spoconych dłoniach
Tańczy w jeden z tańców śmierci
Gdy kolejny zachód słońca
Po dniu pełnym nieważnej treści
Topi się w jej ramionach
Pytanie zasadnicze:
Kto tu gwałci kogo?
Robi się nam gorąco
Panie pokazują nagie ramiona
My przełamujemy strach przed nimi
Płaczą nam się w ustach wyrazy
Rozmyte twarze śmieją się głośno
Zagłuszamy chaos naszych myśli
Nie chcemy ciągle trwać, więc
Rozlewamy nasze życie po kieliszkach
To takie polskie!
Jesteśmy tu, gdy się cieszymy
Jesteśmy tu, gdy się smucimy
Jesteśmy tu, gdy nie mamy, co robić
Jesteśmy tu nawet wtedy, gdy mamy co robić
Przecież możemy zrobić to później
Który to już raz?
Który to już raz kończy się to tak samo?

II

Ciemność rozrywana masą światła
Leżę na ziemi
Tęskniąc za spokojem natury
Pokojem naszych dusz
Za wrażliwy jestem na to!
Pytasz, dlaczego wciąż tu jestem?
Dookoła porozrzucone są ciała
I roznegliżowane butelki
Mężczyźni chowają się w swoich ramionach
Nie chcą znać wstydu
Pytasz, dlaczego wciąż tu jestem?
Sam nie wiem
Jestem tu, bo Ty tu jesteś
Choć nie znamy się wcale
Odgarniam Ci włosy
Są takie piękne, gładkie i pachnące
Odgarniam Ci je z twarzy, żebyś ich nie obrzygała
Jesteś cudowna
Gdy leżysz tak przytulona policzkiem do ziemi
Ubrudzone dzinsy kokieteryjnie odsłaniają Twój brzuch
A blask księżyca łamie Ci się na odkrytej miednicy
Zroszonej gęsią skórką
Jesteś tak cudowna!
Gdy leżysz tu i rzygasz
Po policzkach skapują Ci łzy
Myślałaś, że je pozabijasz
Jak zwykle się nie udało
Pytam, dlaczego płaczesz
Gdybyś umiała w tej chwili mówić
Pewnie byś mi powiedziała
Niestety w niezrozumiałych okolicznościach
Przed chwilą zapomniałaś, jak to się robi
Ja wiem, że pięknie jest
Robić z siebie kretyna i fizycznie niedorozwiniętego
Też to uwielbiam

Siadam obok Ciebie
Zapytałabyś: dlaczego?
Odpowiedziałbym: bo się martwię
Zapytałabyś: co to znaczy?
Odpowiedziałbym, że chyba zapomniałem
Tak dobrze to potrafię
Ale skrzywdzono mnie
Podobno umiem się tylko śmiać
Lecz to nieprawda
Mój upadły aniele
Pytałaś, dlaczego wciąż tu jestem?
Jestem tu, bo Wy tu jesteście
Twój uśmiech zabija
Kolejna porcja zjedzonego spaghetti
Tak bardzo szkoda Twoich pięknych włosów

III

Zawsze chciałem Cię zapytać, czemu tyle pijesz
Powiedziałaś, że to wina gór
Poczułem niemoc ciskającą mnie na ziemię, więc
Usiadłem obok Ciebie
Zobaczyłem, że płaczesz, więc
Przytuliłem Cię
To było tak bardzo uczuciowe i szczerze
Jak nic na tym świecie
Powiedziałem, że uciekniemy, uciekniemy pociągiem daleko stąd
Nie chcę już nigdy pić
Nie chcę nie czuć
Nie chcę nie czuć, kiedy płaczesz
W tamtym momencie nasza ucieczka była doskonałym planem
Byłem szczęśliwy
Ale ta chwila była jak kieliszek
Który przez chwilę wzniosł mnie pod niebo
Po to bym spadł jeszcze niżej
Ja wiem, że my wszyscy kochamy
Rozmieniać nasze życie na chwile
Chwile są nieśmiertelne

Wtedy to nasze myśli wydają się być tak oczywiste
A życie takie łatwe
Pamiętasz, jak spaliśmy razem?
Przytuliłem Cię, a twarz moja wykąpała się w Twoich włosach
One cudownie pachniały, kołysząc mnie do snu
Dlaczego umiem Cię przytulić tylko w takich momentach
Gdy nie wiem za bardzo, gdzie jest moja głowa?
Czy na pewno jest to kwestia tego, że nie robi mi to wtedy żad-
nej różnicy?
Czy przypominam sobie dotkliwej o samotności?
Czy może czuję podświadomie, że jesteśmy w podobnej sytuacji?
Nie chcę już nigdy pić
Nie czuć łez
Przytulać bez miłości

– Taki jesteś silny? Uważasz, że dalej możesz w tym siedzieć?
Według mnie to już tego nie kontrolujesz, nie masz żadnych gra-
nic – powiedziała do mnie szklana ladacznica
Spierdalaj dziwko – odpowiedziałem uprzejmie, bo wiedziałem,
że ma rację

IV

To było w dniu, gdy nasza kochanka
Wystrzeliła mi prosto w serce
Złapałem się tańczącej ściany
Czułem okrutny ból w mostku
Jakbym miał zaraz umrzeć
„Boże, wiem, że na to zasłużyłem, ale niech to się już skończy.”
Spojrzałem na mojego przyjaciela ze smutkiem
Który to już raz kończy się to tak samo?
Wiesz, chciałbym już nigdy nie pić
Oddychać pełnymi płucami, patrząc na zachody słońca
Pokiwał głową, lecz wiedziałem, że on wie, że ja wiem, że się
powtarzam
Ruszyliśmy, więc do domu
Zimny autobusowy przegub był mi towarzyszem
Odruch wymiotny przerywał mi wypluwanie resztek myśli

Jechaliśmy w stalowej trumnie, kołysało jak na statku
Było duszno
Nie dany mi był jednak jeszcze chłód ziemi
Więc wytoczyłem się na zewnątrz i poszliśmy przez park
Letni, dźwigający zapach kwiatów i drzew
Wypełniony świergotem ptaków i śmiechem normalnych ludzi
W tymże cudownym miejscu wyrzygałem się na zielony trawnik
W żółci wymieszanej z niestrawionymi czekoladkami
Zobaczyłem twarz Chrystusa

– Uważasz, że Twoje picie jest tak bardzo poetyckie? Że to wszystko tak pięknie do siebie pasuje?

– Jakoś nie robi mi to teraz żadnej różnicy.

– Dlaczego wciąż tu jesteś?

– Bo oni tu są.

– Nie możesz się z nimi pograżać. Popatrz na siebie. Jesteś na dnie!

– Nie ruszę się stąd bez nich, choćby to było samo dno.

Kiedy budzę się rano zniszczony z przepicia

Czasem sobie myślę,

Że gdyby nie miłość nie byłoby mnie tutaj

Nie miałbym po prostu, po co żyć

Lub żyłbym według własnej koncepcji

Wątpliwie szczęśliwy

Zdany na samego siebie

- Lecz, czasem pocieszam się, że tylko w ciemnościach widać światło

A niebo, w którym byłbym sam, byłoby piekłem...

„Eurydyko, Eurydyko!”

Chyba mi Cię zabrał

Papierek na podłodze

Po zabójcy życia

Zgrzytający zębami

Nowoczesności!

Straciłaś nieskazitelność,
Której ja już poznać nie potrafię,
Której dotknąć już nie mogę
Bo zabiłaś ją
Niszcząc zgrabnym cięciem
Szczytów Namiętności
I zadałaś mi ból
A Ptaki Kaukazu
Zjadły mi serce
Ostatecznie,
A ja leżąc w krwi
Mieszałem ją ze łzami,
Krzyząc
W Czeluście Hadesu:

„Oddajcie mi Ją!”

A było to tak:

Szłaś przez dolinę Tempe
A twarz Twoja wznioślejsza była
Niż ciche piękno kwiatów,
Które wyścielały nadrzeczne łąki,
Tuląc się wstydliwie do ziemi,
Zawstydzone przez piękno Twoje

Skakałaś między nimi
W gracji swych ruchów,
Które były niczym taniec,
Urzekający swą złożonością
I okazujący wdzięki Twego
Ciała

A Ty wiedziałaś,
Hamadriado,
Że każdy musi Cię pokochać!

I ujrzał Cię
Aristajos
I pokochał

I ujrzałaś Go
Eurydyko
I zapytałaś:

– Masz ochotę na skok w bok?

I kochaliście się wśród
Róż, narcyzów, hiacyntów, lilii i fiołków
A gdy dotknęłaś Szczytów Namiętności
Zatrzęsła się ziemia
Spadłem z Gór Kaukazu
Przed wrota na zachodzie
I stałem się Orfeuszem

A w ręku miałem pióro i kartkę
I kiedy coś napisałem
Wszystko padało z wrażenia

A Aristajos,
Tylko z zewnątrz był synem Apollina
Ugryzł Cię jego wąż

Wzięto Cię do Krainy Piekieł
I wrzucono do Tartaru

Umarłaś Hamadriado
Och, słodka naiwności!
Och, jak na ironię!
Ze Szczytów Namiętności
Spadłaś
W Czeluść Tartaru,
Biedna nimfo!

A ja płacząc za Tobą,
Wszedłem przez Bramy Piekieł,
Które mnie nie przemogły
Biorąc ze sobą kartkę i długopis

Charon, straszny starzec,
Niegdyś koneser tanich win,
Dostał wiersz o Antesteriach

I przewiózł mnie za darmo
Przez mętny Styks

Cerber, olbrzymi rottweiler o trzech głowach,
Niegdyś pies obronny na parkingu samochodowym,
Dostał wiersz o psiej karmie
I nawet nie zaszczekał

Władca podziemia przeczytał listę skarg
Napisaną na papierze kancelaryjnym,
A Erynie wysłuchały poematu
O smutku moim i tragedii,
Więc zapłakały

Hades nie miał wyjścia – wypuścił Cię Eurydyko!

I oto idę, idę krętymi, mrocznymi ścieżkami,
Płacząc z radości
Czy też w powodu nasilającego się blasku
Światła powierzchniowego
A Ty za mną
Nie mogąc się odwrócić
Nagle usłyszałem:

– Masz ochotę na chwilę namiętności?

I odwróciłem się,
Dostając cios nożem prosto w serce
A umierając
Przed wejściem do Piekieł
Oczy zasły mi znów łzami
Bo ujrzałem Królestwo Niebieskie

W końcu kochałem prawdziwie!

Och, gdybyś wiedziała nimfo,
Że Szczyty Namiętności
Były w moim,
MOIM SERCU

Agape, Agape!

Oczy zaszyły mi znów łzami
Ostatkami sił krzyknąłem:
"Eurydyko, Eurydyko!"
I skończyłem

A miłość umarła.
Zostały same lustra.

„Frustrat”

Gdzie jestem?
Sam nie wiem
Groteskowy świat wbija mi się w oczy
Wsypuje się
Gdy tylko je otworzę
Nie mogę go powstrzymać
Ziarenka czasu drażnią mnie
Wydłubuję je zza powiek,
Lecz wydłubuję tylko śmierć
Chciałbym krzyczeć
Ale usta budzą tylko milczenie
Upiorną ciszę bezsilności
Przerobiłem kilka sposobów na życie
Nic nie wskórałem
Moja dusza cierpi
Nie może już znieść tortur naprostowywania
Sam nie wiem kiedy
Moralność stała się abstrakcyjna
Sam nie wiem kiedy
Świat stał się sekwencją obrazów
Zużyta kliszą niedowierzających spojrzeń
Stał się tak bardzo nierealny
Jak sen szaleńca
Czy gdy wyciągnę rękę
Przerwę materię
Plątaninę egzystencjalnych pytań
Bez szans na odpowiedź

Czy dotknę obiektywnej prawdy?
Gdy patrzę na to wszystko
Chce mi się rzygać
Wpycham myśli, aż do gardła,
Ale tylko krztuszę się świadomością
Jestem bezsilny i zmęczony
Znudzony jak krnąbrny dzieciak
Kiedyś często się wkurwiałem
Patrząc dookoła, patrząc na ludzkie twarze
Ich niezrozumienie sytuacji powodowało mój gniew
Obwinałem ich o wszystko
Nazwałem nieświadomymi iluzjonistami
Czułem się oszukany
Chciałem niszczyć
Zapraǳiałem być emocjonalnym chuliganem
Jednym wielkim aktem niepokorności
Kiedyś dużo piłem,
Choć nie dla samego picia
Chciałem zabić nijakość, szarość dni
Nadać im koloryt przygody
Zapinając własne szaleństwo w cugle normalności
Lecz, czy kłamstwem jest,
Że moja młodość to jedna wielka ucieczka?
Kiedyś wierzyłem w ideał miłości
Czasem bywałem zakochanym wariatem,
Tym, który chciał sprzedać świat
Za kobiece ciepło
Z tego pozostała mi tylko seksualna wstrzemięźliwość,
Lecz nie wiem, czy jeszcze wierzę w czystość
Bo wszyscy jesteśmy brudni
Brudni jak powojenny bunkier
Nad którym wciąż trwa
Mała zagłada wojny naszych zimnych serc
Nieugaszonych pragnień
I skarłowaciałych popędów
Ona kończy się by znów powrócić
I znów zostawić nas

Umierających z głodu uczuć
Tak szybko zostajemy doświadczeni przez życie
Czasem patrzę na moich przyjaciół
I wydaje mi się, że to żywe trupy
Nie raz staram się im pomóc
Mówię im piękne słowa,
Ale gdy wracam do domu
Moje lustro parska śmiechem
Zamykam się w otulinie ciemności,
Bo z czasem już sam nie wiem, czy to cokolwiek zmie-
nia
Pokochałem ciszę nocnych ulic
Tak dobrze znam ten klimat
Ucieczka przed prawdą, przed rzeczywistością
Ta cisza pustki
I oto myśl, że nie ma nic więcej,
Obawa, że nie ma alternatywy
To tylko idealne stany,
Do których nie ma dróg
Poranki są coraz zimniejsze
Chodzę ze zwieszoną głową
Ogłuszam się muzyką
Chowam w myślach
Ciało mam słabe i szybko się męczę,
Czuję syf cywilizacji w moich żyłach
Prawie się już nie wkurwiam
Naprawdę!
Od czasu do czasu
Chcę tylko komuś rozwalić czaszkę
Chłopakom moich dziewczyn
Policjantowi
Panu z pierwszej strony gazety
Najczęściej jednak jestem obojętny
Nawet czasem smutno się uśmiecham,
Bo w zasadzie nic mnie nie dziwi
Palę sobie czasem i zbieram pozostałości marzeń
Wyciskam z siebie resztki nadziei

Coraz częściej wspominam dawne dni
Boję się, że wszystko
Emocje, uczucia, zdarzenia
To tylko jakaś kopia tego, co było
Że nie doświadczę już niczego nowego,
Bo nie wierzę już w szczególność i tajemnicę
Świat stał się mały i przewidywalny
Rządzi nim rutyna
Plastikowa kultura bandy skurwysynów
Konsumencki rynek narkomanów dóbr doczesnych
Mam głęboko w odmętach mojego odbytu
Wszelkie zło i nierozumny materializm,
Ale nie dostrzegam dobra
Mówię serio, po prostu go nie widzę
Czasem nie widzę nawet zła
W sumie – świat staje się szary, nijaki i neutralny
Czy moja duchowość nie stała się przypadkiem
Pustką wieczności?
Coraz częściej chowam się w swoich rękach
Nie odczuwam bliskości
Bo ludzie nie chcą już być blisko
Handlują tylko na jarmarku uczuć
W dodatku jestem mizoginem
One tak szybko dorastają
W ten przeraźliwie sztuczny sposób
Chcą być matkami
Prowadzić mnie za rączkę
Nic mi nie dają
Mam wrażenie, że spełniają tylko swoje wizje i role
Już nie dają im kolejnych kawałków mojego serca
Nie chce mi się z nimi gadać
Coraz trudniej jest radzić sobie z nerwicami i depresjami
Coraz bardziej boję się, że mam nierówno pod sufitem
Kiedyś chciałem zbawiać świat
Teraz nie umiem zbawić nawet samego siebie
Nie wiem za bardzo, co dzieje się w kraju

Nie chcę się martwić za dużo
Po prostu nie oglądam już telewizji,
Bo by mi się chyba zapchał odpływ w kiblu
Chociaż lubię kreskówki
Śmieję się jak dziecko, oglądając je
Nie kłócę się też z Bogiem
Po prostu nie wiem, co mam mu powiedzieć
Że co, że jest mi przykro?
Chyba się starałem
Za mało?
Raczej stosownie do swej wielkości
Coraz częściej mi się przypomina,
Że boję się ludzi
Zawsze się ich bałem,
Choć zawsze chciałem ich kochać
Żyję jedynie z podobnymi do mnie
Nie jest ich wielu
Jesteśmy różni, choć podobni
Jedynie oni mnie rozumieją
Coraz rzadziej mówimy wzniosłe słowa
Tylko patrzymy smutno w dal
Jest godzina 2:41
Nie będę szedł spać
Bo nie
Albo wiem, czemu
Bo nie chce mi się kolejny raz zmuszać do wstawania
Przepraszam za wszelkie braki odstępów
Nie chciało mi się wciskać spacji
Cześć, Panie Boże
To jest dobry moment żebyś wkroczył do akcji
Coś a'la Deus ex machina?
Albo nie
Mam ciekawy pomysł
Pójdę się napić soku
Popatrzę przez okno w kuchni
I znów poczuję się nikim

Izabela Iwańczuk

„Pierwszy śnieg”

na szali jesieni
poetycki szal barw

wierszami wypełniam twoje puste długopisy
piszą o miłości

puszek roztopisz świeży
nie płacz śnij słońce Wenecji

„Ptak”

rajskie wiśni kwitnienie
ziemskie duszy pragnienie
rosa źródło zapomnienie
cichnie wiersz
kochaj wierz

spokojny nów
obłych snów
w twojej twarzy moje gniazdo

Cudom trzeba pomagać

owoc zerwany
owoc skosztowany
egzotycznych słów
pękający lód

czystą łzą
słodką łzą

spływa cud
sięga ud
z ust
wyjmuję źdźbło

namiętne tło
dobre zło

Adam Rajski

* * *

Je jabłko,
jest nomadem,
przywędrował tutaj z daleka,
z Gobekli Tepe, z preneolitycznej świątyni,
stamtąd, gdzie znajdował się Ogród Eden.
Dobrze pamięta
łapczywe dłonie zagarniające:
słodycz i krągłość pachnącą mocną wonią,
węch ma wyostrzony, zbliża nozdrza
do delikatnego puchu, jak na skórce brzoskwini,
podnieca go nie tyle głód, ile możliwość
zerwania prosto z drzewa świeżych,
lekko wilgotnych, jakby spoconych owoców,
zmysłowy dotyk i wzajemny dreszcz – emocji
na powierzchni spękanej kory,
na koniuszkach palców ochoczych,
świadomość – napięcie, pomiędzy zamiarem a celem,
przebiegających przez centymetry miększu
– ukrytego pod cienką powłoką,
nabrzmiącego sokiem,
kojącym zuchwałę pragnienie.
Jego Drzewo Życia
i Drzewo Wiadomości Złego i Dobrego
wyrasta w nim, ma wspólny pień,
splątane korzenie
i koronę rozpuszczonych gałęzi,
jak na wietrze włosy,
zawierające w sobie moc (Samsona).
Nie szuka analogii do Genesis,
bo czuje prapoczątek rzeczy – w sobie,
bo wie, że w nim jest cały kosmos uczuć,
gotowość przytulania się
do kobiety stanowiącej drugą połowę,
drugą naturę, skomplikowanej ludzkiej Osoby.

Rozmyśla późną nocą o przenikaniu się
żeńskich i męskich pierwiastków.
Je jabłko i ono jest w nim,
i w nim dojrzewa słowo porozumienia.
Je jabłko i wzrasta w nim apetyt,
nie czuje grzechu,
odczuwa przepełniającą miarę – szczęście.
Nie jest barbarzyńcą
ale doświadcza pogańskiego wrażenia
zespoleń dnia i nocy,
słonecznej energii,
blasku księżyca na rozgwieźdzonym niebie (o północy).
Jest Synem człowieczej wiary – w samego siebie,
Ojcem Miłości, rodzącej się do powszechnego istnienia
i Duchem Nadziei – na kiście winnego grona,
nasycone ciepłem (naszych) wewnętrznych promieni.

* * *

Taki już jest uspokojony.
To Wasza wspólna zasługa.
Długo chodził uniesiony w chłodne noce,
po ulicach Słonecznej i Księżycowej,
których nazwy brzmią jak metafora
kosmicznej podróży.
Przybywając do uwspółcześnionego Raju
nie wiedział jeszcze
że można tak otwarcie rozmawiać z kobietą
o miłości nieziemskiej,
o zwyczajnej wymianie czułości
mierzonej najwymierniej złotówkami,
jakby blaskiem gwiazd na niebie
i ilością wypitego wina.
Tu, gdzie tańczą
niewierne Penelopy
zrozumiał wreszcie siebie.
Taksówką z numerami 666,

przyjechał tu,
aby rozpocząć i zakończyć
wewnętrzny dialog.
Teraz już wie –
uczucie nie można zniewolić
bo zamieniają się z dobrych w złe,
tak może się narodzić nienawiść
a namiętność wyzwolona
opada jak spieniona fala.
Pozostaje po niej dobra pamięć
i zwielokrotniona wrażliwość.
Wasze piersi, pośladki i dłonie
złagodziły jego wilczy głód,
Wasze słowa pozwoliły mu
przełamać samotność.
Już nie płonie ogniem targany,
jest już z Wami i z sobą
pogodzony.
On, którego miłość jak dynamit
gotowa była wysadzić
całą Ziemię.

Daria Tyro

Odszedłeś nieznany w zaświaty
Do nieba, które ktoś nazwał Rajem
Czasem czuję Twoją obecność
Często siły mi to dodaje
Może jesteś teraz Aniołem
Albo gwiazdą co mruga do ludzi
Może śpisz i na końcu Świata
Razem ze mną się miły obudzisz
22.09.2000 23.

Idą wolno, nie muszą się spieszyć
Odnaleźli siebie
więc dużo już zrobione
Zresztą prędzej czas będą chcieli zatrzymać
Niż pędzić w ruchu obiegowym wraz z Ziemią
Kim są?
Nikt nie odpowie
Chyba, że
Świat
Lecz jego nie pytaj
Dla niego są nikim
Dla siebie są Światem
Gwiazda nad nimi
Pod stopami Ziemia
Ona ich nauczycielką
Tańczą wokół miłości
Jak ona wokół Słońca
Wykonując przy tym ruch wokół osi - siebie
Bo nie jest ich dwoje
To jedna osoba
Jak myślisz
Kim są?
Przerwę świata milczenie
Odpowiem
Sobą

Ona
Silna
Zmęczona
Błada
Ukarana
Za nie
Za brak
Za grzech
Nie swój
Nie ich
Czyjś
Kogoś
Zaniedbanie
Jego
Wszystkich
Tych
Ślepych
Głuchych
Patrzących
Słuchających
To oni
Nie myśleli
Tonęli
Wiedzieli
Widzieli
Matkę
Ją
Miłość
Wiarę
Nadzieję
Jej
Walkę
Odwagę
I łzy

Dominika Wianicka

* * *

powiedz mi co powinnam
zrobić, rozerwana na kawałki
tu i tam bez pardonu,
w skrupulatnej elokwencji,
natykam się na wypalone
oczodoły, mrosisz mi oddech
kochanku z rozkładówki
ach, zapomniałam, że cię sprzedalam.

* * *

prosisz mnie aby twoje kobiety
były piękne żebyś w drogich
perfumach je kąpał i ubierał
w klejnoty
prosisz mnie aby były piękne
żebyś tylko mógł wziąć
pod rękę gdy wszyscy patrzą
a ja ubrana w zwykły szlafrok
jestem do kochania

„Dla Ciebie”

naucz mnie żyć z substytutem miłości
obiecuję że nie będę kapryśna
i potnę duszę na kawałki bylebyś
nie mówił że jestem zbyt trudna
dla ciebie
będę zamykać oczy abyś
w nich nie utonął
nie będę dotykać twojego
ciała po prostu
będę cicho skamleć
i pytać dlaczego to robię
dla ciebie

* * *

siedzisz i niecierpliwie czekasz
aż nie przyjdę aż napiszę
że jestem z innym
a wtedy powiesz mi
że dziwki też pija kakao

Zuzanna Abrysowska

„Potrzeba istnienia”

tak trudno
otrząsnąć się z nieistnienia
kiedy z dnia na dzień
po posiłkach w pośpiechu spełnianych
tylko brudnych talerzy przybywa
co urastają w szczyt niewidoczny
piętrzący się pod sklepieniem
którego nie ma

trudno trwać
kiedy w prawdomównym lustrze
brakuje odbicia
a okruchy obcych spojrzeń
na wylot przeszywają
i płyną dalej
niczego nie dostrzegając

jeszcze trudniej
godzić się z nieistnieniem
kiedy każda myśl krzyczy
– JESTEŚ –
kiedy każda ciała cząsteczka
tłumaczy sekundy wyblakłe
na język bólu
i czując przepływającą przezeń rzekę
prawie eksploduje

„Nie tym razem”

Śmierć przystanęła uprzejmie
na skraju drogi, w wieczornej ciszy.
Czas zwolnił.

Przednia szyba zawirowała na szosie
jak karuzela w wesołym miasteczku,
prysnęły drobiny szkła,
w konwulsjach skręciła się karoseria.
Gdy zamarł huk,
śmierć odwróciła się i...
odeszła.

„Marzy”

Tak mi się czasem marzy,
by móc w każdej chwili
wyjść na taras tłumny
krzewami bugenwilli
i przez drżące szkarłatem ramy
oglądać letni pejzaż zadumany.
Gdzie biały piasek cicho liżą fale,
skąd można płynąć coraz dalej
słoneczną, złotą autostradą.
Tak mi się czasem marzy
wiosną, na miejskim balkonie
gdy poprzez szum samochodów,
poprzez smutne pelargonie,
patrzę na małe okno nieba
pomiędzy murami.

„Owoc zakazany”

Smak traci owoc na tacy podany,
więc coraz to po nowy owoc zakazany
sięgamy, smakując z rozkoszą.
Skażeni piętnem urodzenia
wygnania z raju się nie boimy,
raz już wygnani, co więcej stracimy?

Delilah „Del” Panaglimala (Filipiny)

NIEPEWNOŚĆ

Dopóki trwa stan taki,
że nienawidzę bujdy i baśni
z szacunku dla wiedzy
i dla wewnętrznego rozwoju
lepiej jest żyć w ten sposób,
byle mieć samokontrolę.

Bo jest tak krótkie
nasze życie całe
i tak niestabilne,
jak łódź
chybocząca się na falach.
Jakby nie było wyboru
i żadnego punktu oparcia
ale, może być z tym wygodnie.
Niby w bujanym fotelu.

Wysoko ceńcie sobie
czas bliskości,
kiedy trwa szczęście
i żaden kłopot
do Was nie dociera.

Uczciwość wobec siebie
to miara godności
i żadne niespodzianki –
nagle Was nie zaskoczą –
oto, co pozwoli pogodzić się
Wam ze sobą.

Chcę Wam przekazać:
„Ceńmy naturę miłości i ją pomnażajmy”.
Dlatego trzymam negatywne myśli
poza moją wolą.

Podobnie jak bojownik,
walczę do skrajności.
Jednak samotność trwa...
i bywa, że bardzo boli.

Ale co dokładnie
wyprowadzam z tego stwierdzenia?
Dorywcze szczęście, niepewność
i co raz więcej alarmów,
rano i wieczorem,
jakby ranę posypywać solą!

Żądając, „Byle być kochanym”
osiągam zadowolenie,
a może, mi się zdaje?
Ale co rzeczywiście
jest korzyścią moją?

Odpowiedź jest
w granicach do spełnienia,
być szczęśliwym można,
hulać i swawolić,
nie odczuwać tego,
co nas może boleć,
ale tego nie potrafi każdy.
Więcej bywa załamanych
i chodzących wkoło.

Teraz chyba jest widocznie,
że miłość dosłownie
„wisi w powietrzu”.
Bardzo ją absorbując
mogę zadowolenie odczuwać
w całym swoim ciele.

I dopóki „walczę”,
i wiatr dmie w moje włosy,

aktualne jest pytanie,
czy miłość nie zna granic?
...Spotykamy się z Nią
gdziekolwiek,
gdzie sfruwa do Nas -
Jej gołąb?

Przekład (swobodny) z języka angielskiego – Zbigniew Mirosławski

J a c e k T r y b a

„Logika”

myślę o fali doskonałej
prawdziwej niemal w każdym calu
o locie mewy idealnym
jak się ma wiatr pod jej skrzydłami
jaki to uśmiech niezabawny
czy szczerłość zawsze prawdą bywa
kogo się spotka na rozstaju
gdy przyjdzie nowy ląd odkrywać
myślę o czasie co odchodząc
przychodzi niemal jednocześnie
i kto maluje drzewom liście
nieznana farbą dziwnym pędzlem
myślę więc... prawda to, że jestem?

„Lekcja morza”

znam przyływ morza
to wystarczy
żeby uwolnić się na chwilę
od ludzi których mam
po dziurki w nosie
rozmawiam z falą
jej językiem
nikt chyba lepiej

nie rozumie
co to samotność
w grupie osób
przychodzą czasem złe momenty
i człowiek ma wszystkiego dosyć
od mew się uczę
wiatru w skrzydłach
od brzegu zostać
niewzruszonym...

09.06.2009 r.

rozumiem wierzyć
lecz przenosić góry?
Zbyt mało umiem
by chodzić po wodzie
stale wybieram
tą szeroką bramę
biję się z myślą
i zwykle przegrywam
bo ile troski
o drugi policzek
jak sprzedać wszystko
co dotąd posiadam
żeby mieć skarby
które nie niszczą
przed wzięciem krzyża
przychodzi zwątpienie
co woła w duszy,
że nastąpi koniec
a gdy nadejdzie
wieczór Getsemani
ze łzami stwierdzę
że nie jestem godzien...

09.06.2009 r.

Dariusz Romanowski

...

Niosący dobro
Z Bożej woli
Z nasienia Ojca
Przyzwolenia matki
Namiętności obojga
Wciąż bardziej jestem
Niżli już mnie nie ma
Choć mniejszą wiarę
Anizeli dawniej
Pokładam w człowieku
Lecz nie pozwól do końca
Zwątpić w siebie człowiecze
Gdy z lubością patrząc
W oczy córki swojej
Na wszystkie świętości
Zaklinam ja Ciebie
Byś w potrzebie nagłej
Jak kiedyś ja Tobie
Nie odmówił pomocy
Tej która krew z krwi
I kość z kości mojej

„Pomiędzy”

Pomiędzy Niebem a ziemią
Drzewo i świat cały
Między Tobą i mną
Cisza i katatonia dźwięków
Wyrastam z ciszy drzew
I tonę w zgiełku świata
Ty rodzisz się niczyja
Dzisiaj bardziej niż wczoraj
Nie ma nieba i nas nie ma
Jest tylko drzewo i ziemia
A jeśli będzie jutro
Wynurzy się z ciszy
Lub zrodzi z chaosu

Zbigniew Mirosławski

* * *

pamięci ofiar Katynia, Charkowa i Miednoje: **Macieja Mirosławskiego, Józefa Maurycego i Franciszka Drużbackich, Jana i Stanisława Szczeklików, Stanisława Biedy, Piotra Nowosielskiego, Tuska Jaworskiego** i wszystkich innych pomordowanych za to, że byli Polakami.

Sosen rzędy, jak
unicestwiona armia,
piętrzą się ponad białym puchem śniegu.
Na polanach, grudy zmarzniętej ziemi
poprzerastane suchymi badylami,
przemawiają zdławionym głosem,
szmerem z podziemi?
Tylko błękit nieba
i kontrast odległej brzeziny,
budzą niedookreślony zachwyt.
Zimowa pora przypomina o obumieraniu.
Zamarznięta tafla,
jak lustro zmatowiałe,
rozmywa rysy twarzy...
Twojej, mojej, każdego...
Stoimy w szeregu, jak
rozstrzelane drzewa,
z rozstrzelonymi oczami,
zagarniając nimi, szadź światliście krwawą.
Nasze grudopodobne głowy,
tulą się do siebie.
Oblodzone włosy, wąsy, zaschnięty przelyk,
zdjęty trwogą, język skołowaciały.
Wszystko ze sobą splątane.
Myśl szuka oznak zmartwychpowstania
ale jak skuta woda zatrzymuje się w biegu.

* * *

Tadeuszowi Kantorowi

Z Wielopola na pól wiele,
wiele masek, wiele twarzy,
jak chochoły, kukły, klisze,
teatralne ambaláže.*
Meloniki, laski i szkice
Biało-czarne przedstawienia
to świat martwej scenografii,
fotoplastykon cierpienia.
Rekwizyty porzucone
przez aktorów zastrzelonych,
ubyłych, ze szkolnych ławek,
artystów niezastąpionych.
Artefakty** tajemnicze,
nie wyjaśniają: lęku, bólu,
co się w duszy zakotwiczył
i na bruzdy ją rozorał,
i posypał ją popiołem:
ofiary całopalenia,
dzieła twórcy – wypalonym
z pożaru, ze skry natchnienia.
Z perspektywy Tarnowa,
z kostiumów już poszarzałych,
rozrasta się mowa niema,
wypełnia horyzont cały.
Na marmurowej tablicy,
hołd dla Kantora zastygły,
w licealnej piwnicy
odkrywa prawdziwe
blizny.***

* /opakowanie/

** /przedmioty, dzieła przechowujące czary/

*** /W 2005 r. w Tarnowie obchodzono 90 rocznicę urodzin, 15 rocznicę śmierci T. Kantora, absolwenta tutejszego I LO. W Warszawie ukazało się wydanie „trumpf, trumpf... Lalki, manekiny

i przedmioty ze spektaklu «Umarła klasa» Tadeusza Kantora”, sceny z tego przedstawienia Teatr Ziemi Tarnowskiej wystawił w piwnicach jego szkoły.

* * *

Tadeuszowi Rumanowi, lotnikowi dywizjonów 301 i 305, po 1945 r., tak jak Feliks Topolski, twórca malarskiego pamiątnika XX wieku, pozostającemu na emigracji.

Pod mostem Hungerford,
przy stacji Charing Cross,
gdzie pluszczą szarej Tamizy fale,
swoisty memuar stworzył
Feliks Topolski, malarz.
Przybył do Wielkiej Brytanii
po strasznej wojnie światowej,
gdy eskadry lotnicze,
trwały wciąż w pogotowiu.
Rysował te młode twarze,
zachował ich miny,
pozy i gesty bojowe,
jakie niejeden przyjmował.
Do dziś są tacy sami:
w pilotkach, kurtkach skórzanych.
A potem, gdy los tak zdarzył,
trzeba było pozostać
- wrastał w kraj rysunkami,
globalny pejzaż kreował.
Plejada osobowości:
Wielki Duch – Gandhi, Mandela
i nawet Albert Einstein
w jego pracach są znowu
gośćmi brytyjskiej królowej.
Daumier by z nim spacerował
długimi nadbrzeżami,
spoglądali by razem
na mieszczan, lordowski majestat,

Big Bena i Trafalgar Squar,
gdy po nim się tłum przemieszcza.
W szkicach unieśmiertelnione:
sylwetki sędziów,
George Bernard Shaw, Winston Churchill,
William Golding i reszta.
Symboliczne nazwiska dla
XX stulecia.
Są jak hausty powietrza:
muralem, graffiti, freskiem,
jakich czas żaden nie zetrze.

Mariusz Mitera

„oczy mojej siostry”

oczami mojej siostry
zobaczę to, czego być może
sam nigdy nie ujrzę,
jej opowieści otworzą
dla mnie nieprzeniknione
wrota światów,
których nie odwiedzę,
lecz dzięki niej częśćka mnie
dotrze wszędzie tam,
za horyzont
i krok dalej.

„miejsca, których nigdy”

prowadząc osiadły tryb życia,
mam w duszy wiele miejsc,
do których na żywo
nigdy nie dotrę,
coś, jak egipski Sfinks,
święta Góra Fudzi
i tłum milczących głów

na Wyspie Wielkanocnej,
oglądane na monitorze
wyobraźni dobrze karmionej
przeczytanymi książkami.

„drag(on) lub na dragach”

i smoki fruwać będą,
ognistymi barwami
snów Dalekiego Wschodu,
z fajeczki, jak dymy opiumowe,
skrzydłami rysują
w powietrzu magiczne
znaki szczęścia,
skrzydlate lśnią w mroku
szarej codzienności,
jak barwne japońskie
lampiony.

„narcyz kwitnący”

wyznawcy ą i ę,
kultu konwenansów,
towarzystwo wzajemnej adoracji,
kółko samozainteresowania,
wielbiące wielbiących się,
„lustreczko, lustreczko
powiedz przecie,
kto jest najbardziej cool
na świecie?
i dlaczego właśnie ja?
uzasadnij”,
a jeśli kogoś nie ma
wśród nich,
to go nie ma.

Krzysztof Maniak

„Nocny seans”

Kiedy zastałem Cię
Siedziałaś skulona
na skrzypiących schodkach
czekając na seans...
W ostatnim rzędzie
Przywiednięte
Oburzone reklamami
Kremów na wieczną młodość
staruszki
Rzucały mięsem
w moim kierunku.
Podszedłem bliżej,
Unikając nieprzychylnych chrząknięć.
Schorowany
przy twoich kolanach.
Błękitną dłonią podniosłem
Twój smutny podbródek.
Po to by niewprawne
błyszczące spojrzenia
Znów mogły wymijać się rytmicznie.
Odwróciliśmy twarze
Poprosiłaś mnie o pomoc
w doborze kolczyków...

„Pragnąc ciszy”

Ty co o życiu
niewiele wiesz
Bo nie wychodzisz
w niepogodę z domu
daj oprzeć mi głowę
o Twoją pierś
pogłaszcz po skroni
myśli z marginesu

emocjonalnego
niech dojrzeją
odpoczywając
w ciszy Twojego
oddechu.

„Zanim wstanie”

Zanim wstanie
Zapach łóżka z pomiętego ciała
Czuję mdlący ból głowy, zgagę.
W ciemności, pomiędzy biurkiem
a szafą śpi cicho na krześle
sterta ciuchów
przebieranych wczoraj
w niezdecydowaniu.
Zostawiona w pośpiechu pusta torba
Z zapalniczką w kąciku na dnie.
Fusy mleko guma w tłustym zlewie,
W lodowatej wodzie dalej
Czekają na mnie do południa.
Oszczekany przez psy
Wyruszą nie spieszo
wlokąc za sobą długi cień
dalej cisza, chyba jeszcze śpi.
Nie pamięta, dzień samotny
mokry, lepki.

Olga Wałaszek

„Rapsodia księżycowa”

W księżycowej tarczy odbija się ślad łez
wzrok smętny głaszcze niebo
a w uszach tańczy jazz
rozbija się o gwiazdy
dźwięk smutny jak ta noc
kolejne puste szklanki
niczym sumienia klosz
Nadaje smak wieczorom
ten niemy dziwny dźwięk
nad pełną myśli głowa
jak szampan sączy się
i szepcze pocieszenie
co wieczór wciąż od nowa
intymna dźwięków przestrzeń
rapsodia księżycowa.

„Śmierć jest mała”

Śmierć jest mała i wszędzie się wciśnie
Między letnie kwiaty i wiosenne liście
między płatki śniegu na czapce dziecięcej
między białe groszki na czarnej sukience
Nie wybrzydza marudzi nie szuka poklasku
nie gustuje w mroku nie opiewa w blasku
nie ma kosy ni innych brutalnych narzędzi
nie wyje nocami i dniami nie głądzi
Nie siedzi na płocie nie huczy w kominie
nie musisz jej szukać bo nigdy nie ginie
nie warto więc wołać głośno jej imienia
skoro tak naprawdę wcale jej tu nie ma

Urszula Banaś

śmiech
choć tak często słyszany
na ulicach
w kawiarniach
to towar
nieдоступny
zarezerwowany
bo gdy ktoś śmieje się
sam
jest uważany za wariata

3.04.2007

Monika Chytróś

Nie patrzcie na mnie!
Cóż z tego, że brak mi
oczu i uszu,
serca i sumienia?
Czasem myślisz, że wszyscy są potrzebni
– nie tylko oni niszczą świat!
Nie patrzcie na mnie!
doprawdy mało we mnie człowieka!
– więcej maskaronów
spod skulonych głów i upadłych rąk.
Brak mi oschłości waszej
i waszych stóp zdeptujących twarze innych!
Zachłyśnięty skrywaną dobrocią
wymykającą się czasem
za wstrętnych serc pełnych wstydu.
Nie patrzcie na mnie!
Cóż z tego, że brak mi
oczu i uszu,

serca i sumienia?
Mało we mnie was!
Lecz was mniej w sobie samych!
modląc się,
gotowi, by zabić,
błagają o pokój

„NIESŁAWA”

rzucił mną mały aniołek o ziemię
i koniec.
posypały się ręce i nogi, a głowa
zatrzymała autostradę
– tylko na moment.
chirurg,
niczym babcia w bujanym fotelu,
próbuję mnie wyhaftować
– nie tak miał wyglądać mój ostatni portret.
błysk fleszy, mnożą się głosy
– i ja –
gwiazda wieczornych wiadomości.
A mały aniołek,
jeszcze przed blokadą,
przysiadł, obserwował.
I uśmiechał się szatańsko
puszczając oczko
– żółte ślepie
mniej więcej niewinnego dziecka.

„Niemiecki Bóg”

On nie żyje.
Tak jak wielu jego wierzących.
Do dziś próbuje wstać z grobu
ocierając dłonie o wieko prawdy.
Zza śmierci patrzy na wspólne wspomnienia
myśląc o zawiści.

Okrywając fałszywym skrusem mury obozów
zaprzecza samemu sobie.

On nie żyje.

Słyszysz tylko czasem stłumione tykanie.

To nie jego serce.

To wpływające gwoździe zatrzymujące
zło w spróchniałym drewnie...

„NA ODWRÓT”

Nie jestem już mężczyzną,
choć nawet dawniej nie byłam.

Teraz obracam się w fałszywym ciele
– chowam kobiece myśli w męskich ustach.

Tu, przed laty, stał chłopiec w sukience
– wyśmiany, uderzany kamieniami w twarz.

Tam, niewiele lat temu, siedziała dziewczyna ze złotymi
warkoczami

– zakrywała zarost milczeniem.

Nie jestem już mężczyzną,
choć nawet kobiety nie dostrzegam.

Pomiędzy wszystkim jedno sumienie.

Nie mężczyzna.

Nie kobieta.

Wiele słów w pustym ciele.

Wiele gestów w pustej duszy.

Monika Brożek

Ciągle oczekuję nikłego spojrzenia
Jednego gestu
i paru słów.
Niech oczy nieba,
wrażliwość wiatru
i szept deszczu
Zwróca się ku mnie
gdyż jak nigdy
potrzebuje w głupocie pocieszenia

„Jesteś dla mnie”

Jesteś dla mnie wszystkim.
Słońcem pośród chmur,
księżycem w ciemną noc,
uśmiechem gdy wokół łzy.
Ostoją we wzburzonym świecie
Cichym szeptem wśród gwaru i szumu słów.
Jesteś jak zachód słońca
Jak muzyki dźwięk
Jak skarb który skrywam na dnie serca
Gwiazdą co w oczach odbija się
Pomocną dłonią wśród obojętnych rąk.

„Cisza deszczu”

(z serii sza aa)

Deszcz muska siarczyście włosy
Spływa po policzkach mieszając się ze łzami
krople dotykają ust
Życie obleczone mirażami nadziei
która przygasa z każdym nadchodzącym dniem

Sprężyste loki przesiakają nadmiarem kropel
ciało przeszywa zimny chłód
szalejącego wiatru.
I nawet niebo obleka się w chmury ze smutku.
Serce poszykuje Twych ramion z utęsknieniem
teraz, gdy ból i chłód skrada się po cichu
Łzy zmieszane z kroplami deszczu padają
na ziemię
Nikt ich nie zbiera
i nikt o nich nie pamięta.

Do zobaczenia Dziadku...
Napisany: 9.05.2007 r.

„Wskazówki”

Potargane wskazówki zegara
mijający czas
złudne nadzieje – to jednak nie tak
rozerwane więzi
ból szept
łzy rzucone na wiatr
i słów gorzkich smak
radość goni żal

Napisany: 30.07.2008 r.

Oliwia Jarosz

Pod pędzący kołowrotek myśli wpadł pomysł
Na drodze została tylko plama
Wymyślony przed chwilą plan prysł
Zatrzęsła się lustra rama

Tłum żałobników wprowadził nutę żalu
Złość przelała się do bezmyślnych pięści
I choć brak mi czarnego woalu
Lustro mogę rozbić na drobne części

Kolorowa żałobniczka niczego nie żałuje
Wszystko co straciła przypadkiem
Krzyżyk na drogę nie rozpamiętuje
Tylko chowa krzyżyki do pudła ukradkiem

Stoję na strychu
Pod drewnianą belką
Z kluczem w ręce
I pajakiem pod stopą
Spoglądam w dół
Na zamknięte drzwi
Nie otworzę ich
Pająk mi przeszkadza

„Tłum”

To ciecz przelewająca się zależnie od poziomu
Dopasowywująca się do naczynia
Łatwo podzielna i co najgorsze
Przezroczysta

Paulina Tomaszewska

„Liście” [31.05.2009 r.]

My zasypiamy w spokojnych oddechach
Jak z liśćmi we włosach, z nadzieją w pościeli.
W tej wierze, że one nie spadną jak z drzewa,
Że będzie jak ma być, że już się nie zmieni.
Te liście okryte wiosenną zielenią,
Jeszcze nie tak dojrzałe, a jednak już piękne,
Co czujesz jak widzisz, co czujesz, dotykasz,
Czy powiesz; ja czuję, że we mnie coś mięknie.
Dla niektórych są niczym, nic również nie znaczą.
Ot, zwykłe listowie, o kształtach symboli.
Co myślę je widząc, czy one to wiedzą.
Co szepczę i czemu mam usta jak z soli.

(Bo nie są to kwiaty) [6.03.2009 r.]

Ewa Tomaszek

„Requiem do miłości”

Ten wiersz jest tym ostatnim.
Rozbitym na kawałki
Heroikomicznym poematem.
Słownym opowiadaniem
O niepotrzebnej miłości.
Roztrzaskanym o nadzieję
Romantycznym dramatem.
Rozdartą kartką między
Zwrotkami istnienia.
Przekreślonymi słowami
Na stronach wieczności.

Ten wiersz jest tym ostatnim.

Końcowym przystankiem złudzenia.
Niepotrzebnym biletem w podróż życia.

Zwykłym, nieistniejącym zbiorem myśli.
Absurdem absurdów.
Paradoksem paradoksów.
Metaforą metafor.
Sensem. Moim sensem.

Ten wiersz miał być pożegnaniem.
Ostatnim dowodem miłości.
Ten wiersz miał być o wszystkim.
Ten wiersz...

Ten wiersz jest tym ostatnim.
Ostatnim wierszem o miłości.

„Miłosne nonsensy”

Poszłabym z Panem na spacer.
Długi, księżycowy spacer.
A potem...
Potem napiłabym się z Panem
Porzeczkowej herbaty.

Moglibyśmy też razem
Czytać prozę.
Oh! Zapomniałam.
Pan lubi wiersze.
Dobrze, możemy czytać
Razem wiersze.

Właściwie wszystko
mogłabym z Panem czytać.
A jakże chciałabym w myślach
Pańskich zrobić zamęt.
Ciekawe...

Oh! Tak, wiem, nie powinnam.
Ale pan jest taki...
Taki...lekkie miękki.
Tak! Pan jest twardy,
A w śródeczku lekko miękki.

A usta Pana są niemożliwie dalekie.
I oczy! Ja kocham Pana oczy.
Nie mówiąc już o policzkach.
Nie wiem czy Pan wie,
Ale ja uwielbiam męskie policzki.

Kocham Pana. Słyszysz Pan?
Ja Pana kocham, a Pan milczy?
Oh! Zapomniałam.
Żadnych uczuć, żadnych wyznań.

Ale cóż ja mogę, kiedy miłość mnie dręczy.
Pan mnie dręczy, miłość mnie dręczy.
Nawet księżyc mnie dziś dręczy.

I znów Pan wszystko zepsuł.
Bo ja Pana nienawidzę, a Pan znów milczy.
Oh! Zapomniałam.
Żadnych uczuć, żadnych wyznań.

Trudno. Ja Pana kocham,
A Pan...
Pan niech sobie milczy.

„Fuga”

Przyjdź do mnie.
Przyjdź do mnie tej nocy.
Ten ostatni raz.

Oddajmy się chwili.
Oddajmy siebie samych.
Poczuj mnie, poczuj moją miłość.
Dotknij, dotknij krańców mego ciała.
A potem odejdziesz i zapomnij, że byłam.

Przyjdź do mnie.
Przyjdź do mnie tej nocy.
Ten ostatni raz.

Wyszeptaj jak bardzo mną gardzisz.
Dotknij moich powiek,
Wplącz swoje istnienie w moje rzęsy.
A potem zamknij oczy i odejdź.

Przyjdź do mnie.
Przyjdź do mnie tej nocy.
Ten ostatni raz.
Wstąp do sklepu za rogiem.
Kup broń. I zabij mnie.
Zabij, zabij, zabij.
Przyjdź do mnie.
Przyjdź do mnie tej nocy.
Ten ostatni raz.

Przyjdź i zabij tę miłość.

„Miłosne nonsensy II”

Wino najbardziej smakuje mi
W Pana towarzystwie.
A właściwie to na pańskich ustach.
Tak! Pan ma cudowne usta.

I oczy! Pan ma takie tajemnicze oczy.
A ja uwielbiam skrytych mężczyzn.
Niby taki oschły, niby taki zimny.
Niedotykalny jak cisza. I dłonie!
Pana ma takie delikatne dłonie.
I nadgarstki. Ja kocham Pana nadgarstki!
Całego pana Kocham.

Choć nie! Pan ma okropnie krzywe nogi!
Ale gdyby spojrzeć na to z innej strony.
To ja właściwie lubię te pańskie nogi.
I głowę pańską lubię. I kapelusz!
Czarny pijany kapelusz.

Poszłabym z Panem na kawę.
Okrutnie gorzką czarną kawę.

A potem powiedziałabym coś panu.
Spyta pan pewnie cóż takiego?
Nie powiem, bo nie wypowiem
Kochać pana to...

Oh! Zapomniałam.
Pana już kocha mnie od rana.
A ja ciągle tylko gadam.
Niech mnie pan pocałuje.
Tu i teraz. A potem odejdzie,
Bo źle się czuje.
Wszak miłość źle na mnie działa.
Opętana jestem wtedy jakaś,
Trochę nawet oniemiała.
A pan śmieje się znów ze mnie.
Bo kocham, bo cierpię?
Cierpię kochając pana.
A pan? Pan po prostu milknie.
Kocham Pana. Codziennie.
Niezmiennie. A pan?
Pan uwiódł i rozkochał.
A potem odszedł bez słowa do innej.

Dorota Beniowska

„NÓŻ”

Jestem sama.
Nóż przede mną.
Żyć czy umrzeć?
Żyć daremno?

Jego ostrze płonie w dłoniach.
Coś mi szepcze,
w uszach dzwoni:
„Skończ ze wszystkim- spokój będzie”.
„...cicho wszędzie, ciemno wszędzie...”

Słucham. Biorę, mocno ściskam
Ostry metal w ręku błyska.
„Zrób to! Zrób to!” kusi czart?
To narzędzie to nie żart!

W moim sercu jest rozterka.
I ostatni pytam raz:

jaki sens ma życia szlak?
Wtem się otwierają okna!
Czuję chłodny wiatr!
Choć mokra, budzę się
od siódmych potów

i dręczących mnie kłopotów.
Boże Mój! Cóż czynię ja?!
Nóż przeklęty spada
z brzękiem!
O nie! Nie!
Nie poddam się!
Nigdy nie zabiję się!

„FOTOGRAFIA”

Jesteś mym Mistrzem
Ja uczniem Twym.
Me oczy w Tobie
tkwią jak rym.

Odbicia oczu Twych
w mych blask,
łączy i opromienia nas.

Patrzę i widzę
Ty patrzeć nie możesz.
Cóż mam uczynić?
Kiedy nic nie mogę.

Jesteś wspomnieniem dla innych
Lecz nie dla mnie

Bo dla mnie jesteś wszystkim
tak jak Twe dzieła ważne:

„Wesele”, „Wyzwolenie” i „Noc listopadowa”
Czerpię z nich wiedzę o potędze słowa
i coraz bardziej pragnę poznać Ciebie.
Mistrzu Wyspiański – Młodopolski Febie!

Dzięki za Twe istnienie,
za natchnienia siłę
i oddanie poezji tej „mowie aniołów”
komu mam zanieść
jak modlitwy słowa,
ja niegodna o Tobie pisać
współczesna osoba,
której „przyjaciele”
nie chcą nawet zrozumieć
wagi Twych dokonań?

„OTCHŁAŃ”

odpływam gdzieś daleko...
tam gdzie ciemna noc się chyli
nie zabiorę cię
bo byłoby mi źle
tam będę sama

mój świat jest jeden jedyny
i nie ma tam miejsca
nawet dla małej gnidy

nie skrzywdzę nikogo
nikt mnie nie skrzywdzi
będę szczęśliwa
w ciemnościach pogrążona

nie żałuj niczego
bo nie zmienisz już tego
żyj własną wolą
pozostaw mnie-moją

Bartosz Baran

„Droga przede mną”

Droga przede mną
Nie do końca znana
Pełna rozczarowań i wirujących wrażeń
Koleje losu szybkie jak wir emocji
Świat karmi mnie nawet ciszą
Choć często ją zdradzam z dźwiękami tęczy
Tymi co grają na dnie mojej wyobraźni
Droga przede mną
To jak pejzaż namalowany przez lekkość słów
Podmuch mglistych szeptów
Wydeptanych na drodze czerwcowego humoru

„Odległe wzruszenia”

Odległe wzruszenia rozdmuchał dziś wiatr
Kolejny dotyk spoczął na przejrzystych słowach
W jednym mgnieniu wątpliwe spojrzenia
Rozmyte w chmurach
Odeszły w zapomnienie
Tylko ja nie zmieniłem miejsca
Nadal jestem
Nadal zatapiam myśli w słowach
I odwrotnie
Wciąż przeznaczenie unosi mnie na wyżyny
Choć emocje nie gasną
Nie znikną jak noc głucha
Staram się być
Trwać w chwilach
Tak by każdy dzień był oddechem słów
Wciąż żyjących wrażeń

Magdalena Lis

Zatrzymałam czas
Patrząc w lustro
Zbiłam pięścią
Kilka lat
Kilkadziesiąt, kilkaset
Przeszukując przeszłość
Nie widzę przyszłości
Jak wiele znaczy ułamek rzeczy
Kubistycznie deformujący
To co kiedyś
Było mną

Słodycz mrozu
Gorycz czerwca
Połamałam na kawałki
Czerstwego chleba
Jak świeżego
– DZIŚ –

Stąpam twardo po miękkim gruncie
Jak po cybernetycznych skrawkach
Wymuszonej tożsamości
Klik – Enter
No – Enter?
W przestrzeni
Wymyślonej przez wysublimowany egoizm
Polka nie w Polsce przestaje być Polką?
Dorian Grey w lustrze?
...Patrząc w chmury
Wzrok ponury...
– Cisza na dnie
Wpisuje się w śluzowaty dialog
niezrozumiałej gwary

Potrzebuję przestrzeni
Tryskającej samotnością
Po chwili...
...przeziębionej tęsknotą
W objęciach
Kolumn wyobraźni
Podążam za Tobą
W blasku ciemności
Kondensuję czas
Potęguję projekcje Ciebie
Tęsknię, będąc obok
...nieobecna...

„reminiscencja terażniejszości”

Boję się niemocy otwarcia
Zagubienia bezbolesnych decyzji
Chcę?
Kiedy? Gdzie? Jak?
Daleko od kapitalistycznej tożsamości
Koniuguję życie
Osoby, liczby, przypadki
Przegapiając zakręty
Poprawności szczęścia
Dryfującego złośliwie
Poza subiektywizmem
odkorkowanej butelki
tworzmy będąc tworzonym
zapominamy niezapomniane
błądzimy przekonani o słuszności
w opcjach jasności przeznaczenia
kruszę tożsamość
czubkiem dużego palca
u nogi

Napisałam wiersz
Zabłysła chwila humoru
Ja?
Niezdarna Jejmość Poezji
Przefiltrowałam chemiczny skład pióra
Upadającego w nicość
Uleciałam
Jak chwila
Przekraczając rozmiar czasu
Wybrałam szlak stromej nikczemności
Wobec siebie!
Przepaść dobrobytu
Dziękuję sobie za otuchę chwili ulotnej
Wbrew wszystkiemu
Wbrew wszystkim
Trwającej.

„Pastelowa niewiadoma”

Nigdy nie wie, co się stanie,
Gdy zamknie oczy
Stukot, tupot
Halny ciszy
Epikureizm
Gra w klocki z zielonym lasem
Tam, gdzie nie znam
Tu i teraz
W pastelach malowana
Wrażliwość dnia dzisiejszego
Plotę, splatam, rozwiązuję,
By na nowo
Kołderką otulić bezimienną twarz
Uciekłam
Wierząc w pastelową niewiadomą
Rozbitą, złożoną
<<<TOZSAMOŚĆ>>>

PROZA

*„Każdy starzec przyznaje się do samego siebie,
a jeśli widać tyle pustych starości, to dlatego że
tyle ludzi przedtem ukrywało swoją pustkę...”*

Andre Malraux, „Dola człowieka”

Zbigniew Leszczyc Mirosławski

/RECENZJA/

„Pod «gwiazd ławicą» w «rzece ciemności» czyli uczucia zakamuflowane, «o krok przed rajem» – wniebowstąpienie słowa w poezji Izy Iwańczuk”

Poezja Izabeli Iwańczuk zwraca uwagę z wielu powodów. Nie przypadkowo zatem komentowana jest przez licznych recenzentów: Tadeusza Lira-Śliwę, Piotra W. Lorkowskiego, Wiesława S. Ciesielskiego, Andrzeja Dębrowskiego, Izabelę Mikrut, Janusza Orlikowskiego czy Stefana Pastuszewskiego. W ich liczbie także i ja ponownie zabieram głos, aby zwrócić uwagę na interesujące tropy poetyckiego obrazowania.

Kolejny zbiór słupskiej autorki pt. „Lunatycy” został wyróżniony na X Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Leopolda Staffa w Starachowicach i Skarżysku-Kamiennej w kategorii propozycja tomiku. Tadeusz Lira-Śliwa dostrzega w nim obecne tak motywy kosmiczne, jak i religijne. Pisał o tym na łamach „Akan-tu” z 27 lipca 2009 roku w słowach „bohater zbiorowy” („Lunatyków”, przyp. aut.) pragnie wyzwolić się z ograniczeń czasoprzestrzennych oraz mentalnych; pozdrawia „podmioty kosmiczne”: noc, gwiazdy, księżyc...”. Czytamy, że według słów krytyka „...lekarstwem na metafizyczny lęk jest jedynie religia...”. Na łamach dwutygodnika „Moje Miasto” dorzuca „...Myślę, że Lunatycy są przedmiotem koniecznym, połączeniem duchowej i zmysłowej czułości do Boga i świata...”. Z kolei Izabela Mikrut konstatuje „...Tomik poetycki konsekwentnie budowany wokół wielu znaczeń nieba. Motywy religijne i astralne przeplatają się tu z nocnymi pejzażami, wszystko łączy się w doskonałych literacko erotykach, gęstych od znaczeń, symboli i widoków. W sugestywnych lirykach łączy autorka bliskość dwojga ludzi z pozornym chłodem gwiazd i księżyca. Widać w «Lunatykach» ogromną dyscyplinę myślową, świadomość wagi słowa...”.

Właśnie relacje pomiędzy ludźmi tworzą zasadniczą linię „wysokiego napięcia” obecną w tej twórczości. Dopiero *przeniesienie tego „planu” w sferę międzygwiazdną służy z jednej strony kamuflażowi uczuć, budowie astralnego sztafazu, który jak teatralna dekoracja przestłonić ma dramat rozgrywający się na ziemi.* Z drugiej jednak strony jest to mistrzowsko wykorzystany entourage, dzięki któremu *możemy poczuć jedność energii naszych myśli w całym wszechświecie.* Dlaczego księżyc porównany zostaje do Judasza? Chociaż wychodzimy mu naprzeciw, (podmiot zbiorowy: my ludzie, my „Lunatycy”, my kochankowie?) odpowiedzialność zdejmuje z nas właśnie tytułowy „Judasz Luna”, który jak w proroctwie skazany jest na zdradę. Porządek nocy i porządek spotkania dwojga ludzi określony jest z góry prawami nie do odmienienia. W wierszu pt. „Wszystko płynie” *ważne są słowa „dokonało się”. I dotyczy to zarówno nocnego rejsu księżycy, który dobija do...brzegu, pod gwiazd ławicą, jak i pary zanurzonej w tej rzece ciemności, w wirze uczuć nie do rozsypłania, z której nie da się wyjść po raz drugi.* Przystawienie heraklitesowskiego „Panta rhei”, ciemnego, zmiennego i zawilego nurtu do którego nie da się wejść dwa razy na wychodzenie z matni uczuć, wychodzenie po raz drugi z niejasnych relacji, jak z rzeki, stwarza efekt fatum wiszącego ponad głowami, efekt nieodwracalności losu przypieczętowanego koniecznością zguby. Losu zrządzonego przez wyższe siły?

Epigramatyczność, zwięzłość w szczególny sposób połączona z oszczędnością wypowiedzi, sugestia konfesji nieomal, przynoszą zamierzony rezultat. Doświadczamy sacrum? Księżyc przemienia się w opłatek, w wierszu pt. „Lunaticzka” podmiot liryczny nie ma niczego więcej oprócz poezji tzn. oprócz „gwiazdy wiersza pod powiekami” a i to zapisane zostaje w trybie warunkowym!

W trzywersowej apostrofie do księżycy, pt. „Księżycu” w czytelniku powstaje wątpliwość. Czy to księżyc jest obiektem modlitewnej adoracji? *Słowa „...wymodliłam cię / ciałem i krwią / spłynąć przez noc.” zwracają uwagę na podobieństwo brzmieniowe wyrazów: księżę-księżyc.* Ten obiekt westchnień prawie wszystkich

młodych dziewcząt – księżę z bajki i księżyc. Wówczas wymodelony ciałem i okupiony krwią, także miesięczną krwią dojrzewającej kobiety obiekt uzyskuje całkiem realne ludzkie kształty. Jest oczekiwany... Może być obrońcą, jak w kolejnym utworze. Wobec ogromu nieba „...jak pacyfik / z tarczą księżycyca...”.

Rację ma Izabela Mikrut pisząc o tych tekstach, jako o erotykach, gęstych od znaczeń. W kolejnym wierszu „W naszą noc”, kiedy pocałunki kwitną jak sny, są one pyłem tworzącym wydmowe płksiężyce. „Obietnica” ma cenę trzydziestu „rubensowskich księżyców” czyli trzydziestu pełni. Zagrożeniem dla spełnienia się miłości jest dzień. „Gwiazdozbiór dnia” nie jest pożądany, słoneczny żar zastąpiły usta kochanków, ugasić go mogą tylko poranne łzy.

Izabela Iwańczuk sprawnie wykorzystuje i łączy trzy elementy: żywiołowość miłości, tajemniczość kosmosu i świadomość różnych kulturowych odniesień. Na przykład możliwość rozmielenia na drobne księżycyca! To z wiersza „Kiedy stracimy miesiąc” I znowu popularne powiedzenie uzyskuje inny wymiar a ciała astralne, nie astralne bynajmniej lecz całkiem konkretne ludzkie ciała „połączą go”, (ten rozmielony „księżyc”) a raczej połączą się (sic!) w namiętym galopie aż po „...helikalny karmín widnokręgu.”. *Sztafaż religijny pełni funkcję zasłony, „...my piękni już / święci od aniołów.” możemy je budzić... „...o krok przed rajem.” zapamiętania.* Gwiazda ma prowadzić zakochanych, jak ta betlejemska prowadziła mędrców „właściwą drogą”, aby oddzielić „...miłość od ziarna.” jak przysłowiowe ziarno od plew. I tylko ciągle jeszcze miłosnym uniesieniom towarzyszy obawa grzechu, stąd konieczność „oddalania piekła” w wierszu bez tytułu, zaczynającym się „*niektóre słowa idą do nieba...*”.

Istotnym walorem poetyckiego przedstawienia tej miłości jest jego uniwersalizm. My liryczne skierowane jest do nas wszystkich! Wszyscy kosmiczni „morze burzymy oddechem / usta powierzamy falom / liczymy srebrniki gwiazd /...dzielimy szafir nieba /...toniemy / w...bezmiarze / planet naszych ciał”. W innym utworze „...ból naszej miłości...” ma się wzruszyć i wydłużyć noc. Zapamiętanie się dwojga, jak w wierszu pt. „Baśniowo

o nas dwojgu” to rozpalenie w sobie miłości gwiazd, uczepienie „...mniej lub bardziej żywych wierzeń...” i wyostrzenie się zmysłów do idealnej czystości „...na podobieństwo wieczności”, rzućcie się w płynący bieg zdarzeń i pozostawienie za sobą wszystkiego, także pamięci o powrocie!

Zbiór kończą teksty różniące się od analizowanych: „Sen poety”, „Dom poety”, „Matka poety”, „List poety” i „Modlitwa poety” to projekcje ładu i rzeczywistości magicznej, określonych przeczuciami i pragnieniami poety i jego wybranki, których „...kuszą gwiazdy słów...”, kiedy poeta kuje „gwiazdy wierszy...półki gorące.”. W „Liście poety” dominuje czerń, nieprzypadkowo, bo „...noc odeszła stąd na zawsze /... rozlane jak wieczór...myśli / mleko w ciemnej szklance /...i życie bez... kolorów...”. W kończącej tomik modlitwie poety pozostaje pragnienie „...wymieńmy się raz księżycami słów.” tak, jak gdy w kościele kapłan wzywa „przekażmy sobie znak pokoju”. Interesujące obrazowanie i przedstawianie miłości w wierszach Izabeli Iwańczuk niewątpliwie zasługuje na uwagę.

Zbigniew Leszczyc Mirosławski

Izabela Iwańczuk, Lunatycy, Wydawnictwo Miniatura Kraków
2009 r.

Jacek Knapczyk „Lorius”

„THANATOS”

Usiadła obok. Właściwie nie wiedział kim jest. Może siedziała tu cały czas, nim sam wybrał to miejsce. Na tle ciemnych drzew rysowała się zamazanym konturem. Ptaki gdzieś odleciały i nastąpiła cisza. Spojrzał w jej stronę, płowe włosy oplatały całą postać a stopy wystające spod brudnego płaszcza postawiła w środku kałuży. Spostrzegł ją pomiędzy jedną myślą a drugą. Coś zwróciło jego uwagę, była to biała róża leżąca na jej kolanach, taka zwykła, z rozchylonymi płatkami. Poczł jakby był obudzony ze snu, chciał wstać, odejść, coś zrobić...

Powoli z oddali napływały obrazy, słowa jak ptaki szumem skrzydeł dając znać, że już tu są. Drętwe gardło skurczem niemoty milczało. Poczł coś jakby ruch i pustka wniknęła do wnętrza ciała chłodem jej oddechu. Ostatnim spojrzeniem zobaczył dłoń na ramieniu i wyczuł uścisk zachęty. Unosząc się w górę spojrzł do tyłu. Mężczyzna z długimi, siwymi włosami siedział na ławce. Wśród zmarszczek pod srebrnymi wąsami delikatny uśmiech rozjaśniał jego blade usta a mgliste oczy patrzyły na białą różę spoczywającą na omszałej płycie nagrobka. Już wiedział...

Oliwia Jarosz

„DRZWI”

Nigdy nie wiedziała, co kryło się za drugimi Drzwiami na piętrze. Odkąd pamiętała pozostawały majestatycznie zamknięte, zastygłe w pozie oczekiwania, aż ktoś znajdzie Klucz i je otworzy. Podobał jej się ten dreszczyk emocji, kiedy koło nich przechodziła, podobało jej się to dziwne uczucie niepewności.

Może było tak, dlatego, że ona sama nie miała w sobie ani odrobiny tajemnicy. Chuda, patykowata figura, krótkie, jasne włosy, trójkątna twarz i piegi nie były ciekawe. I chyba wszystkie te nudne przymioty ciała mogłaby znieść, gdyby nie fakt, że jej oczy były... przejrzyste. To tak jak strumień górski – od razu widać dno i wiesz, że możesz zaczerpnąć wody do picia. Jej oczy wyrażały każdą myśl, każde uczucie, każdy pomysł, jaki zrodził się w jej głowie. Nie ważne było, jakiego były koloru, czy były przymrużone, czy szeroko otwarte, stały się raz na zawsze jej znienawidzoną częścią ciała.

Noc w jej domu była głośna i wręcz wybuchała odgłosami starego dworu. Skrzypiące drzwi, skrzypiąca podłoga, szeleszczące zasłony w wielkich oknach, tykające zegary, obwieszczające światu nieubłagany pęd czasu. Wszystko to składało się na wielki dom, który nocą zdawał się falować, płynąć, kołysać się, cicho szepcząc. Kiedy była małą dziewczynką uwielbiała wymyślać duchy. Każdy pokój miał swoją historię, swój początek i koniec, swój świat i oczywiście swojego ducha. Jak na dziecko obdarzone tak wielką wyobraźnią zadziwiająco łatwo odróżniała świat realny od zmyślnego. Przebiegnięcie korytarza bosymi stopami w nocy do łazienki i z powrotem było dla niej doświadczeniem bynajmniej nie strasznym. Wtedy nie myślała już o duchach czających się w każdym rogu. Wtedy zastanawiała się, czy kolory, które znikły w mroku zdołają powrócić do rana. Czy życie w czarno-białym świecie byłoby równie ciekawe jak było dotychczas?

Jej myśli zmieniały jednak swój tor, kiedy mijala Zamknięte Drzwi. Co za nimi było? Gdzie znajdował się do nich Klucz? Jakie sekrety kryły? Niewyjaśnioną zbrodnię? Pudła pełne wspomnień? A może coś zupełnie innego?

Za dnia uwielbiała przysłuchiwać się rozmowom dorosłych. Strzępki zasłyszanych zdań, niedokończone wypowiedzi, urwane słowa, niewypowiedziane myśli. To wszystko układało się w jej głowie w historię – pełną życia i akcji. Wiele rozumiała na opak, wiele nie rozumiała w ogóle. „Tak, tak, myślę, że wysłanie jej kwiatów załatwi sprawę.”, „Zdajesz sobie sprawę, jakie to było dla mnie trudne? Ty tego tak nie przeżyłeś...”, „To takie smutne. Na szczęście tuż po tym pojawiła się nasza urocza panienska.”, „Kochanie, pieniądze to teraz nasze najmniejsze zmartwienie – odkąd dostałeś ten spadek...”.

Jej matka zazwyczaj była u siebie w pokoju. W nienagannym stroju, umalowana i uczesana czytała książki lub uciniała sobie drzemki. Była kobietą starą wyglądem, starą duchem i na jej własne nieszczęście młodą wiekiem. Z rzadka, kiedy w domu wydawane były przyjęcia wychodziła ze swojego zacisza i szeleszcząc suknią witała gości i rozsyłała uśmiechy, których wszystkim było mało. Ojciec często żartował, że gdyby uśmiech mamy mógł być pakowany w puszki albo w butelki, byłby najdroższym i jednocześnie najbardziej chodliwym ze wszystkich towarów.

Właśnie wtedy, kiedy jej matka była na dole w jadalni, mogła zakradać się do jej pokoju. Grzebała w toalecie, oglądała suknie, dotykała bibelotów, wdychała zapach mamy, pomieszany z zapachem dymu i perfum. Właśnie wtedy miała z mamą kilka chwil tylko dla nich. Chociaż jedna z nich nie zdawała sobie z tego sprawy, druga w tym czasie najbardziej ją kochała. Pewnego wieczoru, podczas takiej właśnie chwili wśród mieszaniny biżuterii, kosmetyków, listów, wycinków z gazet i tysiąca innych rzeczy, natrafiła na To. Ta jedna rzecz, samą swoją nazwą otwierała tyle możliwości, tyle sekretów, tyle... drzwi. Klucz.

Zamknięte Drzwi, tak jak przypuszczała strzegły dostępu do pokoju, którego okna wychodziły na zachód. Słońce dopiero znikające za wzgórzem pokrytym drzewami oświetlało wnętrze,

tworząc wielobarwne kompozycje na unoszącym się w powietrzu kurzu. Wydawało się, że kurz zajmował w tym pomieszczeniu znacznie więcej miejsca niż cokolwiek innego. Pokrywał obficie małe łóżeczko dla dziecka, stary fotel, półki pełne zabawek i misiów. Kiedy ujrzała to wszystko, po raz pierwszy w życiu się przestraszyła. Uderzył w nią nieznany jej dotąd zapach martwoty i stęchlizny. Sytuację pogorszył jeszcze krzyk. Wysoki, krótki, zdziwiony. Odwracając się zobaczyła jej matkę na podłodze. Wbiegli jacyś ludzie, nie wiedziała kto, może ojciec, może goście, może służba. Zamieniła się znów w tą dziewczynkę przy słuchającą się rozmową dorosłych: „Spokojnie, to tylko omdlenie”, „Słyszałeś jak krzyknęła?”, „Co tu robi to dziecko?”, „Panienko, proszę za mną, pójdziemy do pani pokoiku i ...”, „Ona nie powinna była wiedzieć, nie powinna była.”, „Spokojnie, ona nic z tego nie rozu...”. Głosy znikły za ramieniem niańki i za ścianą.

Jerzy Reuter

„MASAJ JAKAYA”

Koniec pory deszczowej w Serengeti to początek wielkiego triumfu śmierci. Powoli opada szara zasłona wody, a przez jaśniejące niebo przebijają zabójcze promienie afrykańskiego słońca. Rzeki zamieniają się w małe bajora, wokół których kotłuje się wojna o zwierzęce prawa do wody, jedzenia i terytorium. Antylopy zwołują się w dwumilionowe stado i wędrują za deszczem.

Nam pozostał poker i dobra rosyjska wódka. Zaopatrzeniem zajął się fotograf z Amsterdamu, Dawid Kunz, korespondent kilku fundacji i wolny strzelec. Kunz był Żydem i często przypominał nam o swym pochodzeniu, próbując w ten sposób coś dla siebie ugrać.

Drugim kompanem do pokera był młody Niemiec, Paul, przyrodnik, badacz i doktorant uniwersytetu w Getyndze. Fajny chłopak. Trochę niepokorny, często walczący o swoje racje, a przy tym koleżeński i ładny młodocianością połączoną z niebywałą inteligencją.

Byłem wtedy korespondentem tureckiej stacji telewizyjnej i robiłem przyrodnicze reportaże, filmy i diabli wiedzą, co jeszcze, a właściwie wszystko, za co można było dostać parę groszy.

Kunz miał dobre układy w Nairobi i kombinował. Sprzedawał Rosjanom informacje o zapotrzebowaniu na broń wśród miejscowych plemion, załatwiał wojskowe konserwy, ciuchy, materiały fotograficzne i oczywiście wódkę. To był dobry interes. Zaopatrzenie dostarczał nam stary kumpel wszystkich reporterów, Akiba Naduu, kenijski jubiler i handlarz diamentami. - Zobaczycie! – powtarzał często Kunz. – Jak tylko skończymy tę pieprzoną robotę pojedziemy do Pemba na białe dziwki. Mam tam zaprzyjaźniony burdelik. Palce lizać, panowie. Biała dziwka w Afryce to rarytas!

Paul był w przeciwieństwie do Kunza drobnym i anemicznym mężczyzną, ale ciągnął wóde za dwóch i nigdy się nie upijał, Grał dobrze w pokera i płacił karciane długi. Kunz, natomiast, pił niewiele i zawsze wygrywał. Miał szczęście.

Siedzieliśmy od trzech tygodni na małym wzgórzu, oczekując na antylopy. Przed nami leżała wielka sawanna, płaska jak stół i sięgająca aż do jeziora Wiktorii. Graliśmy w pokera dobieranego z pojedynczym przebicciem do wartości banku. Nie chcieliśmy się ogrywać, a bardziej grać jak najdłużej. Kunz był dobrze do przodu od Paula. Ja byłem na zero. Na stole uzbierała spora kupka amerykańskich dolarów, a karty lepiły się do palców. Był środek nocy i gdy kładłem do banku swoje przebiccie – miałem trójkę waletów – odchyliła się zasłona namiotu i weszła stara Masajka Baluu.

– Panie Jery – powiedziała. – Pański pies zdycha za namiotem. Krew mu z pyska leci.

Moja ręka zawisała nad stołem. Powoli położyłem na kupce banknotów swoje przebiccie i powiedziałem:

– Wasze dwa i moje pięć w górę.

Baluu była naszą służącą. Miała niedołęznego syna i to był dla niej wielki problem.

– Sprawdzam i idę spać – powiedział Paul.

– Sprawdzam i ja – Kunz rzucił na stół piątkę.

Wygrałem. Moje walety były mocną kartą. Baluu podeszła do stołu, poprawiła dogasającą lampę, pozbierała puste butelki i ułożyła w rogu namiotu.

– Pański pies, panie Jery, co z nim będzie? – położyła rękę na moim ramieniu.

Murzynka mówiła angielszczyznę pomieszana z językiem suahili.

– Nic mu nie będzie, Baluu, pewnie się zranił – odparłem i rozlałem do kieliszków wódkę.

– Napijesz się z nami?

– Nie piję. A pies zdechnie do rana, panie Jery.

Kunz potasował karty i rozdał na dwóch. Paul okręcił się spiworem i poszedł spać pod moskitierę.

– Baluu – odparłem. – Połóż się w samochodzie. Jutro będzie robota.

Baluu miała syna i nie w tym problem, bo miała jeszcze pięciu chłopaków. Tamci, wysocy i szczupli jak świece. Wszyscy już dawno stali się wojownikami, mieli swoje inkajjik, czyli chałupy i długie włosy. Kłopotem i wielkim utrapieniem był najmłodszy Jakaya. Już to m?ilem. On, ten Jakaya, był całkiem serio upośledzony na umyśle i chromał na nogę. To było wielkie nieszczęście. Kaleka w wiosce Masajów, to same kłopoty – tak mówiła Baluu.

– Co z twoim psem? – zapytał Kunz.

– Nic. Zranił się i leży.

Prosto z ręki Kunza dostałem dwa asy i blotki. Oczywiście, wymieniłem dwie. Niech myśli, że mam trójkę.

– To ja też dwie – powiedział Kunz. – Takie strachy nie na mnie.

Przeczekałem, a Kunz zagrał za trzy dolce. Dałem bank i podniosłem do dziewięciu, oczekując sprawdzenia. Nie podnosiłem kart, grałem na dwa asy, w ciemno.

– Jak chcesz, to zobaczę twojego psiaka, co?

Kunz znał się na chorobach zwierząt i był w tym dobry.

– Czy ja wiem? – odpowiedziałem. – Pies to tylko pies. Poleży i wstanie zdrowy. Może nadział się na mocniejszego?

Mój towarzysz uśmiechnął się i rzucił na stół dwadzieścia dolarów.

– Twoje dziewięć i moje dziesięć do góry – powiedział. – Rozegramy, a potem zerknę na psa, Jerry, szkoda kundla.

Zrobiło się cicho. Na stole leżało już prawie trzydzieści zielonych, a my udawaliśmy, że nic ciekawego się nie dzieje, że wszystko, Baluu, mój chory pies i śpiący Paul są ważniejsi od pokera. Taki bluff, wiem coś o tym. Upajaliśmy się ciszą, udawaliśmy obojętność, nie patrząc na stół i karty. Graliśmy na czas. Nagle, w tę zastygłą atmosferę wszedł dziwny jęk, inny i nieznanym. Spojrzeliśmy na siebie.

– Pies – powiedziałem.

Jęk powtórzył się długim przeciągłym zawodzeniem, wzniósł się wysoko i zgasł.

– Nie – zaprzeczył Kunz. – Tak wyje człowiek.

Przez kilka minut nasłuchiwalismy, wylawiając nocne odgłosy sawanny. Na przno.

– Graj – szepnął Kunz.

Wtedy po raz drugi uchyliła się zasłona namiotu i weszła Baluu. Podeszła do stołu i nieoczekiwanie usiadła na krześle Paula. Nigdy tego nie robiła.

– Co się stało, Baluu? – zapytałem.

– Pan Kunz mi pomoże – powiedziała. – Ja wiem o tym. Ale ja nie mogę z panem Kunzem gadać i wiem, dlaczego. Czy wysłucha pan mojej opowieści? Panie Jery?

Baluu miała na sobie czerwoną szatę i ciężkie, metalowe obręcze na szyi. Miała też duże, masajskie oczy i jeszcze większy smutek wytatuowany na twarzy. Po chwili ciszy położyła dłonie na naszych dolarach i zanuciła pieśń.

– Śpiewa w języku maa – powiedział Kunz. – Nie rozumiem tego, ni w ząb. Baluu, o czym śpiewasz?

– Ja się modłę, proszę pana.

Kobieta miała dłonie pocięte ciężką pracą. Męskie dłonie

– Idę zobaczyć psa – Kunz schował karty do kieszeni. – Dogramy później.

Nałożył kapelusz, wziął latarkę i wyszedł. Baluu ze wstrętem wytarła dłonie o czerwoną suknię i pochyliła się w moją stronę.

– Panie Jery, mój Jakaya może jutro umrzeć, a ja chcę żeby żył. Czy to źle? Czy może mi pan pomóc?

– Mogę, Baluu, ale jak?

– Kunz ma lekarstwo. Niech pan uprosi kolegę żeby dał dla Jakaya.

Baluu oprócz tego, że była matką, była też córką masajskiego wodza. Dzieciństwo spędziła w Dar Es Salaam, gdzie skończyła jakąś szkołę. Nie była głupią murzynką.

– Nam nie wolno leczyć Masajów – powiedziałem. – To nie nasza sprawa. Wiem, o co chodzi, Baluu. Ty chcesz leki, bo twój syn przejdzie jutro obrzezanie. Mamy zakaz ingerowania w wasze tradycje.

– On tego nie przeżyje.

Zwiesiła głowę i zaczęła kiwać rytmicznie ciałem, śpiewając swoją modlitwę. Wtedy po raz trzeci odchyliła się zasłona namiotu i wszedł Kunz. Wypił kieliszek wódki i powiedział:

– Tyfus!

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Baluu odskoczyła od stołu i schowała się za moskitierę.

– Jak tyfus? – zapytałem. – Co ty mówisz?

– Psi tyfus. Tak się to nazywa.

– I co teraz?

– Psa trzeba dobić i to szybko, a potem głęboko zakopać. Męczy się jak cholera. Musimy też utrzymać wszystko w tajemnicy, bo jak się dowiedzą chłopaki z rezerwatu to będzie wielki kłopot. Mogą nas wypieprzyć z Serengeti.

– Mogą, Kunz.

Spod moskitiery wyszedł przebudzony Paul. Usiadł przy stole.

– Widzę, że nasz Żyd robi zadymę – powiedział. – Co się dzieje? Nie gapcie się na mnie. Mówcie, do kurwy nędzy.

Kunz przełamał z trzaskiem palce – zawsze tak robił, gdy się wkurzał.

– Uważaj, Paul! Słowo „Żyd” w szwabskim ryju brzmi niebezpiecznie!

Zanosiło się na kolejną awanturę. Znałem ich obu, jak codzienna rację chleba i wiedziałem, że takie wybuchy kończą się zawsze butelką pojednania. Podobno Kunz uratował życie Paulowi. Nie wiem, tak słyszałem, że niósł nieprzytomnego wiele kilometrów na plecach. Gdzieś nad brzegiem Mekongu, gdy filmowali razem połów pangazjonodona – to jakaś potworna ryba, co jak się wkurzy, to dochodzi do czterystu kilogramów wagi – wpadli w ręce kłusowników. Nie wiem, nieważne. Żaden tym się nie chwalił.

– Wy Żydzi zawsze rzygacie Niemcom w twarz – powiedział Paul. – By stać się waszym wrogiem wystarczy być z Westfalii, albo innego pieprzonego landu. Gudłaje, kurde!

Wiedziałem, że muszę się wtrącić, bo kłótnia może potrwać do rana, a zanosiło się na mnóstwo roboty.

– Kunz! – zawołałem. – Mieliliśmy grać! Prawda? A ty Paul nie przeszkadzaj! Zawień dupę w śpiwór i wracaj na materac!

Baluu wyszła z namiotu i znowu rozległ się ten niesamowity jęk. Paul nie poszedł spać. Zajął się piciem wody, a my wróciliśmy do gry. Miałem wielką ochotę sprawdzić, ale niewyraźna mina Kunza mówiła sama za siebie. Wygrzebałem ostatniego dwudziestaka i rzuciłem na stół.

– Twoje dziesięć i moje dziesięć. Co ty na to, Kunz?

– No właśnie. Sam nie wiem, czy warto grać o te pieniądze? Ty Jery jesteś już goły, a moja karta wymaga bardziej dynamicznej licytacji.

Marszczył czoło i udawał, że intensywnie myśli. Wiedziałem, że to kolejny bluff.

– A kto zabije psa? – zapytał.

– Ja jestem Niemcem – powiedział Paul. – Nam nie wolno, nawet psa, bo co by na to powiedział nasz stary Kunz?

– Mam inny pomysł – Kunz uśmiechnął się płgębkiem, a ja wyczułem jakiś podstęp. – Zagramy, Jery, o twojego psa. Co ty na to?

– Chcesz grać o mojego zdychającego psa?

Jęk Baluu stawał się powoli nie do zniesienia.

– O jego śmierć zagramy – powiedział Kunz. – I to, co na stole.

Wyjął z kieszeni małą strzykawkę. Poznałem, to była jednorazówka morfiny. Głupi Kunz uśmiechał się podejrzliwie i kombinował dalej.

– Możemy skrócić cierpienia psa, albo... Albo pomóc człowiekowi. Co ty na to, Jery?

– Nie rozumiem, co tam pieprzysz, Kunz – odparłem stanowczym tonem. – Do rzeczy!

– Wygrasz – zaczął bawić się strzykawką. – Twój pies może umierać szybciej i łagodniej. Przegrasz, Jery, dam morfinę Baluu. Przynajmniej jej syn przejdzie bez bólu inicjację.

– Jesteś kawał skurwysyna!

Zegraliśmy. A co mogłem zrobić? Miałem dwa mocne asy i nieodkryte trzy karty, co dawało jakąś nadzieję. Dla porządku, Kunz sprawdził za dziesięć dolców i wszystko miało się za chwilę rozstrzygnąć. I znowu odchyliła się zasłona namiotu i weszła Ba-

luu. Z dzikim wyrazem twarzy, zapłakana stanęła za moimi plecami. Poczulem, że rozumiała, o co toczy się gra. Paul przyglądał się wszystkiemu z lekkim rozbawieniem, napełniał co chwilę kieliszek i wypijał. Nie chciał się wtrącać.

– To co? – powiedział Kunz. – Zaczynamy? Odkrywamy po jednej, dobrze?

– Stawiam moje humbaki – wtrącił się Paul. Wychlał pół butelki, ale wiedział co mówi. – Wygrany jedzie ze mną do Australii filmować humbaki. Stoi?

Przytaknęliśmy jednocześnie. Ja i Kunz. Wyrzuciłem na stół moje dwa asy, a Kunz asa i dziewiątkę. Baluu przykucnęła tyłem do nas i znowu zaczęła się kiwać. Moją trzecią kartą była trójka. Kunz miał dziewiątkę. Czwartą kartą Kunza też była dziewiątka. Ja odkryłem trzeciego asa.

– Ratuje mnie czwarta dziewiątka – powiedział podniecony Kunz. – A ciebie, Jery, przy karecie dziewiątek nic nie uratuje. Jak widzisz, czwarty as jest u mnie.

– No, który wygra? – Paul zatarł ręce. – Od razu mówię, że wylatujemy z Monachium. Formalności na mojej głowie.

Odwróciłem tę pieprzoną kartę i rzuciłem na stół drugą trójkę. Miałem fula na asach. Kunz, bardzo powoli odgiął róg, spojrział i syknął nieprzyjemnie.

– Cholerny szczęściarz z ciebie, Jery – powiedział. – Masz chłopaku fart i zabieraj morfinę, jest twoja.

Szybko zgarnął wszystkie karty i przetasował.

– Ta ja idę położyć się w samochodzie – powiedziała przez łzy Baluu. – Muszę się wyspać, bo czeka nas robota.

– Ja też się położę – westchnął Paul. – Już po przedstawieniu, chociaż, było bardzo przyjemnie.

Tak – przytaknąłem. – Musimy się przekimać. Mam małą prośbę, Kunz, zrobisz coś dla mnie? Nic wielkiego.

– Mów, Jery.

– Daj mojemu kundlowi ten zastrzyk, co? Wiesz, ja nie mam wprawy i nie lubię.

Kunz, bez wahania wziął ze stołu strzykawkę i odbezpieczył igłę.

– Nie ma problemu, Jery – powiedział. – W końcu to twoja wygrana. Chętnie ulżę psiakowi.

Gdy Kunz pomagał zdychać mojemu psu, dopiłem resztę wódki. Było tego pół butelki.

* * *

Wstaliśmy wraz z upałem, tuż po wschodzie słońca. Obudziła nas Baluu. Weszła do rozgrzanego i dusznego namiotu, podniosła zasłonę i wpuściła do środka falę suchego skwaru. Leżeliśmy złani potem i zmęczeni wodą, odwodnieni i osłabieni. Po chwili, niczym zgonione hieny, chleptaliśmy ciepłą wodę zaprawioną odkażającymi tabletkami – dar od Rosjan z Kabulu. Do każdej butelki alkoholu dokładali opakowanie prochów. Wiedzieli, co robią. Baluu zachowywała się zupełnie inaczej niż w nocy. Uśmiechała się i krzątała zwawo wokół namiotu. Siedzieliśmy przy stole, umoczeni potem i każdy z nas myślał o nadchodzącym dniu.

– Zaczyna się piekło – powiedział Paul.

Kunz, co chwilę wycierał twarz w brudny ręcznik i ciężko oddychał, silił się na uśmiech i widać było jak zmęczenie rysuje ostrą kreską zmarszczki wokół jego ust.

– Baluu! – zawołałem. – Co się dzieje na sawannie?

Murzynka weszła do namiotu i powiedziała:

– Przyszły! Sawanna się poruszyła.

Wiedzieliśmy, co nas czeka. Przecież czekaliśmy na antylopy. Nikt z nas nie miał żadnego pomysłu na pozbieranie się w kupę, na zwinięcie namiotu i resztę tej całej pieprzonej roboty. Upał i przepicie obezwładniały nas i odbierały siły. Pomogła nam Baluu.

– Przyprowadziłam ludzi do pomocy – powiedziała. – Już sprzątają na zewnątrz. Przyszli moi synowie z żonami..

Wyszliśmy przed namiot i spojrzeliśmy w kierunku Kilimanżaro.

– Baluu? A co z twoim małym? – zapytał Kunz. – Co z Jakaya?

Kobieta zrobiła minę szczęśliwej matki. Nie, to nie była wczorajsza Baluu.

– Za chwilę będzie miał próbę bólu, proszę pana, a pod wieczór obrzezanie. Mój syn jest dzisiaj bardzo dzielny.

Przed nami poruszała się sawanna. Setki tysięcy antylop, głowa w głowę, szło w stronę rzeki.

– Cholerny upał – powiedział Paul.

Z wielkim mozołem zapakowaliśmy wszystko na samochód, klnąc i utyskując na paraliżujący żar. Musieliśmy wyprzedzić o kilka godzin antylopy i rozbić obóz nad rzeką, ustawić sprzęt i czekać. Gnu szły powoli, wyjadając trawę do ziemi, a za nimi małe stada zebra i gazy Thompsona. Po przejściu dwóch milionów kopytnych ziemia zrobiła się czarna i naga, obdarta z zieleni, do następnej pory deszczowej.

Mieliśmy zaklepane z zarządem Serengeti dobre miejsce, tuż nad rzeką w akacjowym gaju pełnym zbawiennego cienia. Obiecaliśmy sobie, że po zainstalowaniu odbijemy butelkę wódki i wypijemy za pomyślność. To było bardzo obiecujące postanowienie.

Baluu, po spakowaniu wszystkich kłopotów oddaliła się wraz z synami do swojej wsi. Nie zatrzymywaliśmy kobiety, miała dzisiaj swoje wielkie święto – jej upośledzony syn miał stać się mężczyzną.

Przed nami był niewielki kawałek drogi, może trzydzieści mil, ale w tak rozpalonym piecu, gdzie nie ma żadnych dróg, podróż wydłuża się w nieskończoność. Moi towarzysze ułożyli się z tyłu, a mi pozostała kierownica – chrapali całą drogę, jak stare prądownice.

Dotarłem na miejsce po prawie dwugodzinnej jeździe, po przepychaniu się pomiędzy zwierzętami, ustępowaniu z drogi, strasząc klaksonem bardziej agresywne grupy. Rzeka, szeroka i wezbrana po deszczach, była metą podróży i ostatecznym celem naszej roboty. Mieliśmy sfotografować przejście antylop przez niebezpieczny nurt. Po dotarciu do akacjowego zagajnika wywlokłem brutalnie towarzyszy z samochodu – dobry sposób na budzenie skacowanych fotoreporterów. Wyglądali jak wszystkie nieszczęścia sawanny wrzucone do wanny wypełnionej ludzkim potem.

– To już? – zapytał Paul. – Tak dobrze się spało.

Do dzisiaj nie wiem, co takiego dobrego było w śnie Paula. W takim upale?

– Ale piekarnik – westchnął Kunz. – Dobrze, że mamy drzewa. Może nie rozbijajmy namiotu? Zrobimy brezentową wiatę i będzie dobrze.

Powoli rozpięliśmy kawał płótna pomiędzy drzewami i ustaliliśmy swoje miejsca. Mój Rolleiflex nadawał się na złom, ale wyposażony w najlepsze teleobiektywy Zeissa jakoś nadążał. Paul i Kunz pracowali kamerami.

– To, co? – zapytałem. – Odbijamy butelkę?

– Jasne – powiedział Paul. – Przecież to ustalone, nie?

– A ja mam wszystko w dupie i modłę się o koniec tej parszywej roboty – stwierdził Kunz.

Otworzyłem konserwę, na zakąskę – do tej wódki.

– Boże! – Kunz usiadł pod wielką akacją. – Jak ja bym chciał być już w Pemba. Panowie! Mały bajzel z wannami w kolorze indygo, a dookoła chodzą białe dziewczyny. Masują plecy, przypalają papierosa, podają szklaneczkę. Chcesz więcej? Kiwasz małym palcem i masz.

– Pieprzysz, Kunz, jak każdy alkoholik – powiedział Paul. – Dlaczego akurat białe, a nie czarne? Co?

Paul był gejem i nigdy tego nie ukrywał, ale, przy tym, miał wielką zaletę. Umiał zachować się nawet w burdelu.

– Dlaczego? – odparł Kunz. – Dlaczego białe? A dlatego, bo czarne mają średnio po dwanaście lat. Dlatego. Pieprzyłeś białą kobietę w środku Afryki? Paul, wchodzisz do małego domu, tuż nad oceanem i widzisz raj. Białe, na oko trzydziestoletnie dziewczyny krzątają się wokół ciebie, a każda uśmiecha się, buja biodrami, kusi dekoltem. Powiem wam coś. Nie ma nic lepszego na tym parszywym świecie niż doświadczona, trzydziestoletnia dziwka.

– Myślałby kto – zaśmiał się Paul. – Myślałby kto, że z ciebie, Kunz, taki ogier.

Zrobiłem kanapki z konserwowanym tuńczykiem i włączyłem się do rozmowy.

– Myślicie, że do wieczora skończymy?

– Może tak, ale widzisz... Upał jak diabli – odparł Kunz.

– Kiepsko z nami – dodał Paul. – Niepotrzebny był ten poker i tyle wypitej wódki.

Jedzenie czegokolwiek w takim skwarze przypomina karmienie kormoranów. Trzeba mocna odchylić głowę i wepchnąć kęs do gardła. Gryzienie nie wchodzi w rachubę, bo wszystko smakuje jak trociny.

– Poker był potrzebny – powiedział Kunz. – Ja mam na odwiedziny w Pemba, Jerry ma z głowy psa, a ty, Paul, kumpli na wyprawę do Australii.

– Tak, popracujecie dla mnie – przytaknął Paul.

Przesiedzieliśmy tak może trzy godziny. Wypita wódka przyjemnie krążyła w żyłach i wszystko wydawało się łatwe i przyjemne. I nagle jakaś dziwna siła podniosła nas z trawy i nakazała spojrzeć na drugi brzeg rzeki. Zaczęło się. Ustawiliśmy się na stanowiskach.

– Chłopaki! – zawołał Paul. – Mamy je! Idzie stado!

Po drugiej stronie była kilkumetrowa skarpa, łącząca się bezpośrednio z wodą. Wiedziałem, że antylopy muszą skakać do rzeki z wysoka i dlatego to miał być dobry materiał na fotoreportaż. Pierwsze szeregi zwierząt przystanęły nad urwiskiem i czujnie spoglądały w nurt. Dołem kotłowała się woda i czające się w niej krokodyle. Antylopy napierane przez dalsze szeregi zaczęły spadać ze skarpy. Na chwilę znikwały, po chwili wynurzały się i z uniesionymi głowami spływały w stronę drugiego brzegu. Przez skarpe przewalał się nieskończenie wielki i żywy tłum gnu. Gady pozwoliły dopłynąć zwierzętom do połowy i gdy już w wodzie znalazło się setki antylop, krokodyle rzuciły się na żer. Rzeka zabarwiła się na czerwono. Co chwilę rozlegał się plusk, potem wielkie szczęki i kolejna ofiara znikła pod powierzchnią. Krokodyl nie połyka pod wodą, dlatego, co kilka sekund nad lustrem pokazywały się obrzydliwie kłapiące gęby, pełne świeżego mięsa. Po chwili pierwsze gnu dopłynęły do brzegu. Wyszły z wody, otrząsnęły się i poszły dalej.

Minęło kilkadziesiąt minut. Krokodyle zrobiły swoje, a przez rzekę, już spokojnie, przeprowiały się kopytne. Natura pobrała należny jej haracz.

– Mam już wszystko! – zawołał Paul.

Wystrzelałem kilkanaście filmów i potwierdziłem Paulowi takim samym okrzykiem. Kunz też był zadowolony. Teraz pozostało nam pakowanie i powrót do Dar Es Salaam.

Przy samochodzie czekała na nas Baluu. Nie była sama. Siedziała na ziemi otoczona grupą Masajów, wśród których rozpoznaliśmy jej synów. Przy nogach kobiety leżał mały chłopiec.

– Oto mój dzielny Jakaya – powiedziała z dumą Baluu. – Przyszedłem wam pokazać mojego wojownika i podziękować panu Kunzowi. Mój syn jest już mężczyzną.

Rodzina kobiety zaczęła śpiewać, a malec powstał i pokuśtykał do Kunza. Mówił krótko. Nie zrozumieliśmy żadnego słowa, bo przemawiał w języku maa.

– On wam dziękuje – wyjaśniła Baluu.

Zaintrygowało mnie to cholernie, bo za co miał nam dziękować upośledzony syn starej murzynki? Wyczułem kolejny szwindel Kunza. Może nic by się nie działo, może nawet bym o tym szybko zapomniał, ale niespodziewanie z krzaków wylazł prosto na mnie mój pies. Tego było za wiele.

– Kunz – zapytałem. – Co jest grane?

– E tam, Jerry – odparł. – Wszyscy zdrowi, nie? Psu nic nie było, a jak wiesz ja mam morfinę na stanie i muszę pisać protokół użycia. Co miałem wpisać? Że dałem dziecku przeciw bólowi? Toż to granda kryminalna.

– A co napiszesz?

– Jak to, co? Pies miał tyfus, nie? Zdechł i został zakopany poza terenem Serengeti.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tą dziwną sytuacją, a potem zawołałem Baluu.

– Weź sobie tego psiaka – powiedziałem. – Jakaya będzie teraz potrzebował przyjaciela. Jest w końcu tym cholernym wojownikiem.

Jerzy Reuter

Gabriela Dulian

„PERSEFONA” (Fragment)

– Chcesz mnie upić?

Uśmiechnęła się przyjemnie. Od mojej rozmówczyni biło ciepłe światło, które mogłoby z łatwością przebić się przez ciemne burzowe chmury nad kogoś głową, rozbić je i wpaść strumieniami na ciemną twarz, rozświetlając ją. Tamtego wieczoru tak się nie stało. Nad moją głową nie było żadnych kłębiących się chmur: zmór nostalgii, smutku. Wyidealizowana metafora światła pozostawała mężnie dalej, choć wiedziałam, że silne promienie światła mogły zgasnąć również nieoczekiwanie, jak się pojawiły.

Nie odpowiadałam.

Nie pragnęłam by upiło ją wino. Pragnęłam, oddałabym całą swoją przeszłość pełną oczekiwania na tą chwilę, wraz z dalszą przyszłością, o ile ta istnieje; wszystko co zdobyłam oraz swoją wiedzę za coś tak nieosiągalnego i nierzeczywistego jak upicie ją sobą.

Chciałam zanurzyć ją w sobie po czubki mlecznych palców. Upić do nieprzytomności sobą jakoby ambrozją i za wszelką cenę nie pozwolić by stała się trzeźwa.

Zawładnąć. Upić i zawładnąć.

Pragnęłam zakazać towarzyszce oddychać brudnym i stęchłym powietrzem tego świata. Niech oddycha tylko mną, bo Tylko ja pachnę niebem tak odurzająco.

Niechby była upitą do nieprzytomności marionetką, a ja jej lalkarzem pełnym wyrozumiałości.

– Nie, nie chcę Cię upić, Kochana – odpowiedziałam.

Zamigotał wtedy płyn w kieliszkach czerwony jak krew. Powietrze stało się lekkie, a za oknami nadal sypał cicho śnieg.

„Kochana” w tamtej chwili zastygło mi na ustach. Może sprawiałam wrażenie przestraszonej czymś, bądź złknięonej – nie wiem. Nie byłam w stanie przełknąć śliny. Tak często wypowiadałam te słowa w myślach, aż stały się powszednie. W tamten wie-

czór coś we mnie pękło, w moich ustach brzmiały one... bardzo obco.

Byłam w stanie jedynie podziwiać to piękne ciało.

Skóra chorobliwie jasna jak mleko. Tak samo jak ono kusząca. Wystające z nad gibkiej talii zebra urzekały. Ciemne, dokładnie odznaczające się na jej ciele włoski tworzące nieodgadnioną mozaikę. Smukła ekstrawagancka szyja muskana cienkimi czarnymi kosmykami. Zbyt długie chude, białe palce zaciskające kieliszek ze szkła.

– Tak – mówiła, widziałam, jak waha się jej język pomiędzy zębami – Tak, nie miałabyś z upicia mnie żadnych korzyści.

Siedziałyśmy naprzeciw siebie. Piękna, wgnieciona prawie że bezwładnie w fotel i ja, z gracją podciągnęłam pod siebie bose, zimne stopy. Oddzielał nas jedynie niski stolik ze szklaną ladą.

– Roxane, to jest takie dziwne – zaczęła znów mówić nie czekając kulturalnie na moją odpowiedź, tak jak lubię, a jak to zwykle robimy – To wprowadzie tylko figury w kościele, ale one wodziły za mną wzrokiem tak samo jak ludzie, którzy w nim spacerowali.

Przechyliła się niezgrabnie przez stolik wyciągając kieliszek. Chciała, abym nalała jej wina, co uczyniłam podnosząc niepełną butelkę z podłogi. Symetryczna grzywka zasłoniła jej oczy.

Ma ładne oczy.

Nieziemsko długie kuszące rzęsy i tęczęwki koloru pustyni. Czasami, gdy się w nie zajrzy można dostrzec cień skrzydeł drapieżnego ptaka.

– Posągi to tylko zlepek jakiś metali i aluminium, nie bierz tego aż tak do siebie – mówię sztucznie, choć wcale nie to chciałam w tamtej chwili powiedzieć, co znaczy, że mogłam to nazwać kłamstwem? Wygłaszając to, nie było widać nic na mojej twarzy.

– Ty tam nie byłaś!

Śmiałam się. Na pewno mój śmiech był wyprany z jakichkolwiek wzniosłych uczuć, może nawet mroził jej kości do szpiku. Nienawidziłam siebie.

– Bardziej przejmowałabym się wzrokiem tamtych ludzi. Posągi nie wbiją Ci sztyletu w ciemnej uliczce takiej jak Rue de Seine. Paryż jest najniebezpieczniejszym miastem Europy. Ależ

oczywiście, że byłam. – kontynuowałam. Nienawidząc siebie ubóstwiałam swój charakter. To jest ponizające.

Patrzyłam na nią. Odchyliła do tyłu głowę, a jej szyja jakby wbrew sobie szeptała „ugryź mnie, zasmakuj”. Nie potrzebnie wtedy skarciłam się w myślach za te słowa.

Potem jak gdyby nigdy nic prostując się i zamykając powieki powiedziała, że nie powinnam tak mówić oraz zapytała co się ze mną ostatnio dzieje. Tylko jej pytania potrafią brzmieć jak obraza i ranić samym swoim wybrzmieniem.

Miała rację, przyznam. Pochyliłam się jeszcze bardziej do przodu i skryłam twarz w swoich dłoniach. Ten gest musiał wyglądać dość dramatycznie. Nie mogłam jej tego powiedzieć. Bynajmniej ‘powiedzieć’. Wtedy jeszcze nie wiedziałam i nie mogłam wiedzieć, nie miałam do tego prawa. Zaczynałam grę z Panem Jokerem, to musiałam w nią wciąż grać, nawet jeśli ta gra była o sens.

Milczałam.

– Najlepsza obroną jest atak – powiedziała. Kiwając się w fotelu krzyknęłam. Przecież fakt, że jestem silna na to mi pozwalał. Poza tym nie miałam ochoty bronić się przed własną możliwością i nie powinnością.

Suzanne zawsze mi wszystko śmiała wypomnieć. Była i wciąż jest w tym na dodatek przeraźliwie skrupulatna i perfekcyjna. Jakby to ta perfekcja miała coś do jej kwestii nie poukładanych uczuć lub pedantyzmu. Pamiętam, że kiedyś jej siostra, Marie, powiedziała Madame coś o tym, że sprawiam wrażenie wiecznie znużonej i zmuszanej do życia. Ona nie omieszkała mi tego powiedzieć. Później do zmroku kłóciłyśmy się, a mając tego dość odłożyłam spokojnie słuchawkę telefonu nawet się nie zegnając. Obudziłam się nad ranem przemarznięta z zimna nad Loarą.

– Nie umiem okazywać uczuć, wiesz? – mówiłam spokojnie; bardziej raczej opanowana niż spokojna – Jak miałam się tego nauczyć i dla kogo? Przed samym sobą dla większej satysfakcji...? Nie miałam komu okazywać ich. Ja jestem w środku, a na zewnątrz mnie nie ma.

– Wiem.

Strach, mój strach przed cierpieniem wzmógł się dwukrotnie, bo te słowa nie brzmiały zbyt mile. Były ostre i wbijały się jak

szpilki. Nawet taki uzasadniony strach jak w tamtej chwili jest gorszy niż samo cierpienie.

Pragnęłam jej idealnego ciała.

Podeszłam do niej omijając stolik i uklęknęłam obok niej wyciągając przed siebie rękę.

– To boli. Za każdym razem gdy próbuję Cię złapać, Ciebie i Twoje myśli, wymykasz się. Tak jest odkąd tu jesteś. Umiejętnie się wymykasz.

Wyciągniętą dłonią próbuję złapać powietrze w garść.

Nie pamiętam co mi odpowiedziała. Lekko drżałam, a to było jeden dzień po jej przyjeździe. Przypominam sobie tylko wyraźnie jej postać. Siedziała nadal prosto w fotelu, twarz miała skąpaną w blasku lampy: jej promieni przeciskających się przez koronkowy abażur.

Śmiałam wtedy myśleć otwarcie przed sobą, że kocham, tak jak ludzie twierdzą, że nie powinnam.

Patrzę w okno ze Stumilowego Lasu na słońce. Zachodzi dziś na wiatr. Widma światła suną sennie wśród topoli rosnących przed naszym oknem.

Słońce nigdy nie zachodzi.

Madame wyleciała z Paryża rannym lotem. Wita się ze swoją rodziną nie mając czasu zajrzeć tutaj.

Dziś jedynie ja, drzewa na których mogę powiesić się za swoje paranoje, widzę. Te zeschłe, monumentalne badyle majaczą się na horyzoncie w tej samej linii kremowego słońca i przesytego białą nieba. Na ich gałęziach, podążając za spleśniałymi grubymi sznurami, wiszą martwe ciała. Martwe ciała moich niegodnych (czego niegodnych, czym niegodnych, działań, myśli?) niczym urojeń. Powiewają dumnie w rytm południowego wiatru. Warczą niemo, z ich białych lic niezrozumiałe słowa, z których są dumne jak pawie. Mają białe, martwe i skostniałe ręce, złożone do modlitwy.

Zaśpiewam ci szeptem Requiem, Pani.

Stworzony świat bez Ciebie nie zginie, nie zatrzyma się, nie wybiegnie z korowodu urzeczeń. Będzie. Zawsze. Jakbym w którykolwiek czas śmiała myśleć, że on jest Twój; Jest dla ciebie, ale

jest moją własnością. A każde chcenie, że do niego nie należę, nawet sprawia mi ból.

Sto Mil Lasu powstało dla niej, ja powstałam dla niej. Błagałyśmy niemo o przyjaźń, a to właśnie my, nie kto inny, stałyśmy naprzeciw siebie. Dzielili nas tysiące kilometrów, a jeszcze nigdy nie byłam tak naga, gdy patrzyła na mnie.

Nie miałyśmy w swoich rękach szabli umazanych krwią, ani tej krwi wsiąkniętej w naszą lepka od potu skórę. W moim sercu były jedynie stosy masek, które zakładałam: jeszcze nie zdążyły upodobnić mi się do twarzy. Piękna stała za mną. Stworzyłam z niej 'na mój obraz i podobieństwo' młode bóstwo, świeżą i jędrną boginię. Byłyśmy takie proste wśród zakrętów drogi, beztroško smutne. Bezmyślnie głupie, trzymając niby naręcza konwalii w rękach (Co? Co trzymałyśmy?). Słyszając dźwięk bramki wołałam za nią: "Poczekaj na mnie, ja już biegnę". Bramki do rozpostartych Stu Mil Lasu, niewidocznych.

W listach mówiłam do Suzanne, że jestem otoczona padliną, a nie ludźmi. Ona snuła się sennie po Paryżu, wylewała się w środku lata na skwarne ulice. Padlina zamiast w paletę jasnych barw była obleczona w paletę szarości, bez bieli i bez czerni w zenicie. Odurzająca ohydna woń włóczyła się za nią wszędzie, docierając do moich nozdrzy i prawie wywołując wymioty. Cuchnęła rutyną i stresem, a odurzała zwierzęcą żądzą. Mieszała się z potem tłustych ciał snobów. Mówiłam jej również, że padlinę, która mnie otaczała najbliżej, nazywam ściervem. Uśmiechnięte obłudnie matowe twarze musiałam na powitanie całować w dwa policzki. Zamiast tego śmiechu, gdy ośmielała się mówić do mnie na 'ty', miałam zamiar wywołać u nich krzyk, krzyk dwóch wymierzonych celnie policzków. Barthelemy również ich tak nazywał wraz ze mną.

W ohydnie mojej czerwonej dłoni trzymałam kurczowo kości. Spoglądałam na nie, a one na mnie swoimi czarnymi świdrującymi oczkami na czterech bladych twarzach. Stworzone z syntetycznej białej masy.

I był pokój. Skorupa ciemności zmiążdżyła jego ściany, przedzierała się we wszystkie kąty, nęcąc powietrze swoją istotą. W niechcianej parodii piekła rozstawione były świece, roztaczały wątle światło wokoło siebie na kilka milimetrów, a za nim: znów była ciemność ustawiona w mury.

I nie było drzwi, ani okien.

Światło pożera mrok. Mrok nie pochłania światła.

– Rzucaj – mówił raz za razem Joker. Sarkastyczne dzwoneczki dyndały na jego ironicznym kapeluszu, osadzonym na również ironicznej głowie, przekręconej na bok w ironicznym geście.

Przygryzłam z obawy wargi, z pomiędzy nich piłam własną krew, która przypominała mi, że jeszcze żyję. Patrzyłam na niego, jak tak stoi w białych rajtuzach i swoim fioletowo białym surducie. Mój zielony strach, z którym patrzyłam na niego, widział jeszcze postawiony wysoko kołnierz, dzwoneczki u podwiniętych czubków w butach oraz kolczaste czarne obroże założone na kostki i nadgarstki. Podniosłam rękę. Podrzuciłam kości, aby potem je złapać.

– Rzucaj.

– Życie nie jest twoją grą, mistrzu.

– Ale jest grą dla mnie.

Nasze oczy spotkały się po raz kolejny. Ma on fiołkowe wielkie oczy obrysowane kaskadą niebezpiecznie długich rzęs.

Wiedziałam, oboje założyliśmy maski mimów. Jesteśmy bez skrpułów. Zdradzają mnie jedynie oczy, oczy które kłamią.

– Nie zginę – powiedziałam.

– Wiem. Ty stracisz sens, gdy odejdiesz.

Podniosłam rękę szybko w górę, aby rzucić kości ze wściekłością wymalowaną mi na masce.

Przerwaliśmy w skupieniu oddechy. W tym świecie było jedynie czuć strach. Nicość. Przepaść. Oblęd.

Kości tocząc się z dźwiękiem po podłodzie wpadły za zasłonę mroku.

Obserwuję jak trucizna spływa po filizance do jego ust. Brat zabija się dość umiejętnie litrami czarnej kawy, co prawda nie jedynie kawy i poniekąd fizycznie, o czym on wie również. Uśmie-

cham się ciepło na myśl, kogo mi przypomina. Nasuwa mi się obraz konającego Sokratesa, pędzla Jacques-Louis David'a, gdy patrzę na Nicolasa. Swoim starym zwyczajem znów podniósł tak jak on do góry rękę. Leży w tej samem pozycji co filozof. Ach! Teraz mam wrażenie, że to nie brat upodabnia się do Sokratesa, lecz Sokrates do niego. Geniusz nie mógł znać mojego brata, ani brat jego, co za ... ulga.

Kontemplujemy w jego mieszkaniu.

– Suzanne jest mniejszym... fenomenem.

– Niestety nadal mam ciało człowieka, z czego wynika niezaprzeczalny fakt, że jestem człowiekiem. – śmieje się, naprawdę mnie rozbawił – Mylisz pojęcia. Człowiek to zwierzę, fenomen to zjawisko.

– Jak śmiesz oskarżać mnie, mnie, o mylenie pojęć? – krząta się w wyćwiczonych ruchach przy ekspresie do kawy, w kuchni.

Uśmiecham się jedynie.

– Spójrz na te bydło ciągnące hordą po ulicach, szczególnie ich cielęta. To one myślą pojęcia, nie ja.

– Świat popyla naprzód, Mounsier Nicolas – moją ironię słysząc w całym pomieszczeniu.

– Jeśli tak uważasz. Pozwolę sobie mówić o mojej rodzonej siostrze i jej przyjaciółce jako o fenomenach, Moja Roxane. Bo wiem, że jesteście jak zjawiska, nie jako ludzie. Tak jakbyście istniały od początku pojawienia się bytu, nie stworzenia świata, a właśnie jeszcze wcześniej – mówi ciągnąc mnie do salonu z dzbankiem ohydnygo płynu i owocami dla mnie.

Sadza mnie na krześle przed stołem.

– Za takie poglądy Oni są na dobrej drodze abyś poczuł ostre igły wbijające Ci się w żyły i rozsadzające je na cząstki... – urywam.

Kogo ja właściwie oskarżam, krew z mojej krwi, moją drugą starszą męską stronę? Moją starszą mentalną dziwkę...?

Nicolasie, powiedz mi, co się z nami stało? Gdzie zgubiliśmy beztroskie lata i nasze światy, za które nikt nas nie karał chemiczną bronią? Gdzie machano na nas rękami, mówiąc, że jesteśmy nieznośnymi bawiącymi się dziećmi. Powiedz mi, moja Nadziejo, czy musiał nadejść początek śmierci, kiedy ostrym tonem kazano w jeden dzień wszystko zaprzestać i dorosnąć?

– Abym poczuł obłądną gładkość białej sukni, którą Oni żartem nazwali kaftanem bezpieczeństwa. Abym wył, czołgał się, aż w końcu przyznał im rację? Że jestem obłąkanym świrem, śliniącym się wariatem z obsesyjną żądzą w ślepiach? – szepcze, kontynuując moje słowa. Zna je na pamięć.

On jest taki spokojny.

– Nie – mówię, bo jestem jak skała; jak kamień, który nie ma drzwi do swoich sal balowych we wnętrzu; mówię, bo jestem ze skały, płonie we mnie ogień, który ze środka się nie wydostaje: żarzy się, spala mnie. Płoń, płoń! – Abyś oszalał od ich śmiechu, który wybucha po słowach ‘Jest tyle światów co umysłów’. A potem zasnął snem ze strzykawki.

Przekazujemy sobie prawdy, które Bóg żartem zawarł zewnątrz naszych głów.

– Doszłaś dalej niż większość ludzi kiedykolwiek dojdzie – wygłasza słowa, patrząc mi prosto w oczy.

Ze sobą składa wskakujące palce i podchodzi do mnie. Przyciska do skroni.

– Bang! Umarłaś. Jutro zmartwychwstaniesz, prawda?

– Jutra nie ma, Nicolasie.

Teraz i ja jestem tak bardzo spokojna.

Odchylając zasłony, widzę z mojego okna Śmierć.

Widzę ją wyraźnie. Pół-przeźroczysta Jasna Pani, niewytłumaczalne zjawisko; schodzi w dół ulicy ciągnąc za sobą miękki biały szal. Uśmiecha się przez nikogo na zauważona do przechodniów. Sunie bulwarem nie stawiając stóp na chodniku, a z jej kuszących sinych warg unosi się mgła i opada na bruk tworząc deptane jasne ornamenty. Odchyła smukłą szyję do tyłu; czarnymi, lśniącoymi włosami bawi się wiatr; zamyka powieki, widzę krystaliczne kawałki szronu na jej rzęsach.

Nawet nie zdałam sobie sprawy, że zbiegam ze schodów, a teraz wpatrujemy się w siebie tak blisko: ona we mnie, a ja w nią.

Smog unoszący się nad Paryżem zasłania mi źrenice, sprawia, że nie widzę żadnych obrzydliwych konturów otoczenia: jedynie ją. Zahipnotyzowana podążam za Panią We Mgle. Je-

stem w amoku, a moje oczy potrafią patrzeć jedynie na jej krągłe policzki.

Śmierć jest fascynująca.

Nikt jej nie widzi wśród wieczoru. Gwarne ulice żyją innym światem, a Padlina siedząca w kawiarenkach sączy się nieszczerym śmiechem. Ponieważ w kolejnym żarcie, nazwali ten świat: nierealnym. A Śmierć śmieje się, wiedząc, że w takim razie nic na tym świecie nie jest realne, a jednocześnie nic nie jest nierzeczywiste. Zbyt dużo wszechświatów przenika się na tym globie aby tak coś nazwać, cokolwiek.

Idziemy poznać idee Śmierci chłodnymi ulicami.

Podążamy sennie wśród wieczoru wzdłuż skwerów. Jest jeszcze jasno, a wyblakłe widma światła padają jej wprost na ręce. Z pod widmowej skóry sterczą na jej dłoniach suche kości i chrząstki dawno obdarte z mięsa. To dodaje jej animuszu: kilka odkrytych zeschniętych kości i miękkich opuszków krótkich palców zaciśniętych lekko na szalu, nie obrzydza.

Nie wiem dokąd idziemy, ale idziemy w ciszy, jest tak jakby świat powiedział 'amen' przez grzeczność. Stajemy przed wysokim wieżowcem ze szła, z luster, z betonu. Zadzieram wysoko głowę nie dostrzegając jego szczytu utopionego wysoko w chmurach. Wychodzimy na jeden z dachów świata, na dole jest pełno policji z migającymi światłami na radiowozach. Światłami niebiesko-czerwonymi.

Stojąc tutaj, widzę kogoś, on stoi na samej krawędzi. W rondzie swojego kapelusza ukrywa zbyt wiele egocentryzmu jak na takie nakrycie głowy; a w siwej brodzie być może kilka nikomu nie potrzebnych nierozwiązanych zagadek, których czas minął.

Samobójca (już wiem, że pukała do twojego okna, a potem odeszła ciężkim, powolnym krokiem). Zaraz odbierze siebie światu, zepchnięty przez niego na krawędź.

Krzyczą barbarzyńskie 'JUP' nad dachami świata, czego im więcej potrzeba? Krzyczą w twarz samemu stwórcy, krzyczą głośno o tym, że świat nazwał go wrakiem, a Piękna Śmierć rzuca mu z uwielbieniem pod stopy kwiaty.

Na dachu 50 piętra przeszywa mnie mroźny wiatr. Milczę, tak jak milczałam od wieków. Nie stać mnie na krzyk, ich krzyk. Z każ-

dą chwilą na tym świecie – obawiam się. Trwożę się przed psychiatrami i psychologami tak jak mój brat. Boję się słowa: szaleńiec. Podchodzę spokojnie z nimi na krawędź. *Oh, Barthelemy, nic mogę niczego zredukować do frazesu.* Ukrywam się i zaprzeczam samej sobie, że w tej sprawie: Nie jestem taka jak Nicolas. *Ach! Nic was w tym nie różni. Krew z twojej krwi.* Psychol. Fana-tyk. Obląkany. Świr. Kryjemy się po nocach, znikamy z światła latarni umysłów. Zatykamy uszy aby nie słyszeć ich, zasłaniamy oczy aby nie widzieć Padliny – ona prześladowuje nas nawet w snach. Krytycy moralności, nie jesteśmy w stanie się im podporządkować, stać się szarą plazmatyczną masą bez serca i bez tożsamości, dlatego nas gonią. Są snajperami wyznaczonymi tylko dla nas, dla każdego po jednym. Gdy nas zabijają: nie zawsze zmartwychwstajemy. *To jest insignifiant, l'enfants** – słyszę w głowie.

Wychylam się.

A oni wirują głowami w dół, spleceni wszystkimi kończynami: udami, biodrami, palcami, owinięci w jej bawełniany jasny szal. Wszystko to wiatr i oni są wiatrem: pozostaje on jeszcze długo w ustach roztrzaskanego trupa na ulicy.

A oni dalej tańczą spleceni wszystkimi kończynami: udami, biodrami i palcami.

Dziś ja również to wiem, Suzanne: Śmierć jest Pięknem.

Choćby każdy krok miał sprawić mi ból, a ja miałam się zapatrzeć w niebo i umrzeć z bólu; i umrzeć z zapatrzania, z wypatrywania aniołów. Choćbym miała konać z każdym wiekiem, rokiem, sekundą – z każdym Twoim oddechem. Chociaż miałabym wyć, swymi paznokciami ranić własną skórę na łopatkach, padać na kolana co raz, a potem podnosić się by czekać. Chociażbym miała uciekać na koniec świata, którego nie ma, ranić stopy o kamienie na drogach ucieczki. Chociażbym zeszpeciła sobie twarz słonymi samogwałcącymi pocałunkami, nic nie liczącymi się; usta zakrwawiła chorymi brudnymi słowami; palce wyłamała ostrymi deskami ratunku. Chociażbym miała umierać, zwłoki ze sobą zabrać: nie pozwolę sobie Ciebie kochać.

Nie pozwolę kochać namiętnie i bezbronne. Obrzydliwymi, śliskimi pocałunkami miażdżyć delikatne usta. Rękoma badać wy-

niosłości, przykrywać oddechem. Wnikać raz za razem, mocniej, głębiej – chłonać, rozgrzewać, studzić. Nie pozwolę nim odejdziesz w zapomnienie. Nie pozwolę. Nie pozwolę przeszywać się bólem i tęsknić jakbym była nieżywa gdy będziesz przechodziła na drugą stronę ulicy.

Nie pozwolę, ponieważ miłość powszednieje. Ja chcę jeszcze więcej. Cal po calu, skrawek po skrawku, mila po mile, drzewo po drzewie.

Sprawiłaś, że mój rozum ma inne racje, których serce nie zna. Swoimi słowami rzucasz chustkę na ziemię i każesz nam dwóm: mi i mnie szarżować na siebie na koniach, na łeb, na szyję, na śmierć.

O, Szlachetna Pani siedząca na trybunach, nie wyobrażasz sobie jaki toczymy morderczy ból! Walczymy na przeciwko sobie tylko sobie znanymi sposobami, a każde z nas wygrywa.

Trwa wojna.

Wyciągamy szable, muszkiety, karabiny. Wytaczamy działa. Szykujemy proch. Mamy niezliczone armie, miliony pułków i legionów, a na ich czele generałów: ja i ja, którzy władają: mnie i mi.

Jestem zamieniona w liczne pobojojiska z żołnierzami poległymi ‘w chwale ojczyzny’, ze zgliszczami i dymiącymi się jeszcze wsiami, wraz z ja i ja ponoszącymi rany wojenne. I ja, generałowie siedzimy na koniach lustrując wszystko wzrokiem, płyniemy przykładając do teleskopu oczy i widzimy łodzie podwodne wroga, namierzamy samoloty zwiadowców.

Bądź jestem jak ulica podzielona murem. Każda jej strona co raz świeci neonami by za chwilę zgasnąć. One budzą się kierowane nieistniejącą siłą – zasypiają, gdy drugie się budzi. A Ty siedzisz, *Mademoiselle* i obserwujesz obie strony.

Serce czy rozum? Bo być, czy nie być to zamierzchła już sprawa.

– Siedzę i wpatruję się beznamiętnie w ekran, a nuż napiszesz, zadzwonisz. Spytasz jak zawsze czy męcząca była podróż... – wzdycham gdy słyszę ten śmiesznie obrażony ton. Przesuwam ręką po policzku, który lekko podniósł się w uśmiechu.

Czekam chwilę.

– Madame, Ciii... – brzmie dostojnie. Do ust przykładam palec.
Z drugiej strony słyszę westchnienie i wyobrażam sobie jej usta zamknięte bez słowa.

Pałam uwielbieniem – zamilkła na rozkaz.

– Jest mi pusto. – mówi szybko. Już widzę jak podnosi brwi przy czym zamyka oczy.

– Ponieważ ludzie wokół to pustka, *moi amie*. Już dawno otwarcie przed Tobą twierdziłam, że to szare plazmatyczne masy, którym instynkt nakazuje pokazać siebie jako wyższych ludzi.

– Nauczyłaś mnie tego – szepcze przez uśmiech.

Nie – myślę – ja Ci jedynie to pokazałam, Ty zrobiłaś dla mnie o wiele więcej, ponieważ nauczyłaś mnie żyć.

– Och, nie!

– Mmmm...? – mruczy spokojnie.

– Po prostu nie zauważałaś tego w rutynie.

– Jeśli tak – słyszę jak się śmieje – to Ty mnie z niej wyciągałaś.

– A ja nadal się opieram przed wyciągnięciem mnie z całościowej apatii.

Milczy.

Jeśli teraz odpowiedziałyby, przyznawałyby mi w zupełności rację. Lecz jeszcze nie wie dlaczego w nią wpadłam. Wśród masy tych plazmatycznych szarych bydląt upodabnam się w ten sposób do nich. Najlepszą obroną chyba nie jest już atak, a nie dać się zabić przez swoją odmiennosc. Ja maskuję ją apatią: tego również nie podejrzewa.

– Teraz mi powiedz dlaczego... – urywam

– Odkąd Cię nie myślałam, że kiedykolwiek to powiem, ale nie mam czasu – kręcę głową. Słowa tak mało potrafią powiedzieć.

– Coraz częściej go nie masz. Cieszę się chociaż, że nie wpadasz w rutynę.

– Przestań, Ona by mnie zabiła, dobrze wiesz o tym.

– *Je connais*

Milkniemy ponownie.

– Opowiedz mi o Desire

– Bardziej esteta niż ekscentryk. Tak, można o nim powiedzieć wiele więcej rzeczy, ale na pewno nie to, że jest właśnie

ekscentrykiem. Gdyby przenieść się na schyłek XIX wieku, całą jego postawę mogłabym opisać jednym zdaniem: 'nosił jedwabną marynarkę oraz duży kwiat czerwonej lilii w butonierce'. – mówię chicho, tak aby jeszcze bardziej wyęźżała zmysły aby mnie słuchać snującą ładną historię.

– Jest fascynujący? – pyta.

Więcej. On chyba jest Pięknym Człowiekiem – nie chcę rzucać tak patetycznych słów na wiatr, obym miała rację – Nie Można go przyłożyć do rany, nie uśmierza on bólu. Jest jak sól – sprawia, że jeszcze bardziej piecze w kontakcie z krwią. Rumieńce na brzoskwińowej skórze karzą sądzić, że jest ostrym sadystą, bądź jego skrajny sadyzm przerodził się w masochizm.

Ona kocha moja opowieść.

– Ma jeden ze zwyczajów, który tak bardzo lubię. Tytułuję nowo poznanych ludzi. Gdyby nie nazwał mnie Panienką nie spojrzałabym nawet na niego.

Nie chcę. W ciszy i w milczeniu stworzyłam ideał tego mężczyzny (patrzę przez ten pryzmat na niego). Nie powinnam go stwarzać. Pomyślałam, że za jego ciepło mogłabym zapomnieć o Suzanne, nie powinnam o tym kiedykolwiek myśleć.

– Ciekawią mnie jego oczy – zmyślam się przez chwilę, Madame czeka na moje słowa – Mam wrażenie, że w nich znajduje się czysta rozkosz. On jakby z każdym oddechem wysysa z chwili cały jej splendor, aby przywłaszczyć go i umieścić w swoich tęczęwkach.

– Czysta ekstaza – szepcze ledwo otwierając pełne wargi. Może ma je lekko zwilżone śliną z uprzednimi otarciami po zębach. Może w jej pokoju jest tak zimno, że jej oddech zamienia się w małe kłęby pary.

Może moje Niebo posiada kolor tych jej idealnych ust.

– Przyjdiesz, prawda? – zmęczona mówi.

– Jesteś aż tak niepewna? – wypowiadam te słowa, choć wiem, że powinny one już niedługo być skierowane do mnie – Nie mam po co przychodzić. Zawsze tam jestem. Zaraz postawię wodę na herbatę i otworzę szczelnie zamknięte drzwi, tutaj noce są chłodne. Otworze je dla Ciebie, tylko dla Ciebie. Zdejmę z szyi medaliony i odłożę je na duży kuchenny stół

Zamykam oczy aby z westchnieniem przenieść się do Stumilowego lasu.

– W naszym śmiecie jest jesień? – zadziwiają się nagłą delikatnością mojego głosu.

– Mmm... przyozdabia ona czerwienią buki, a wiatr przynosi pełno liści pod nasz próg, gdy się po nich stąpa są one prawie tak samo miękkie jak śnieżny puch co przychodzi tuż po nich. Jest wtedy tak bardzo cicho, a smukłe drzewa kołyszą się na wietrze.

Opowiadamy sobie o naszej krainie wartej więcej niż kilka kufców złota, srebra i klejnotów, opowiadamy jak o legendzie zaklętej przed wiekami w klechdach i opowieściach.

– Przychodząc do mnie zobaczysz drewnianą chatkę z szerokimi okami. Wejdiesz, a przyjemne ciepło buchnie ci w twarz, z przyjemnością będziesz wdychać je do płuc. – mówię, a mój głos nie wiem dlaczego, pozostaje nadal jedwabście gładki.

Gdy już zamknie się drzwi, a oczy przyzwyczajają się z wolna do półmroku, w półciemności są drzwi do łazienki, jest w niej duża drewniana balia z wodą. Widać na podłodzie i ścianach z drewna tańczące refleksy światła z kominka, który ozdabia róg po prawej stronie dużego pomieszczenia. Jest on obłożony ciemnym kamieniem aż po belki w suficie. Obok niego zawsze leżą porozrzucone drwa i pełno jest jasnych drzazg, czasami zaplata się w nie mały, suchy liść kiedy przynosi się je z dworu.

Jest tak bardzo cicho, tutaj nie dochodzą huki trotuarów miasta. Puchowy dywan położony na środku tłumi nawet każdy krok i umila każdy upadek. Ma on kolor czerwonego wina, bądź szkarłatu krwi. Choć z pomiędzy szpar okiennych nie przedostaje się żadna porcja jesiennych i zimowych nocy, czasami słychać wyście wiatru, gdy przechodzi się przez brudne framugi drzwi kuchennych.

Zatapiamy się w miękkich i głębokich fotelach obok kominka czytając książki. Żyjemy Tam podwójnie, czekając na przyjście Bratniej Duszy i długie z nią rozmowy do świtu. Czytamy książki ustawione w rzędach na półkach za nami: Przekłady Homera, Opowiadki Voltaire, tajemnicze sztuki Szekspira, Fausta,

Dantego, Poe, 'Kwiaty Zła' Baudelaire i baśnie Andersena. Przyglądamy się naszym fotografiom siedząc w nich dalej. Widzimy na nich ponure osobne twarze i zgliszczą po ogniu w naszych oczach, który się jeszcze ledwo tli. Zawsze gdy na nie parzę, czuję na palcach chłód moich utrwalaczy i prawie widzę porozciągane sznurki i czerwone światło z mojej ciemni.

W kuchni rozstawiony jest duży mahoniowy stół i dwa krzesła, w szafkach kilka dużych kubków, kieliszków i noży. Zawsze ciepły gwizdzący blaszany imbryk na wodę.

Nigdzie nie ma luster. Przychodzimy tutaj i patrzymy jedynie na siebie. Na gibkie zmęczone, jasne ciała, ocierające się o korę drzew na zewnątrz. Przypatrujemy się z uwagą, liczymy zadrapania naszych dusz, jakby od tego zależało nasze przyszłe życie.

Nie jesteśmy tutaj głodni, bowiem tutaj nigdy nie jest się głodnym. Wygasają pragnienia ciała, a to co można czuć zwielokrotnione to tylko własne zmysły. Czuć zgrzytanie o siebie własnych zębów, ale nie czuć bólu. Nie jest się tutaj również spragnionym, choć zawsze piję się herbatę z dzbana i nalewa się z butelek wina do kieliszków.

Tutaj, w moim Stumilowym Lesie jest się również nieśmiertelnym.

– Kiedy przyjdiesz? – mówiąc te słowa drzę lekko, nie mogę powstrzymać się przed tym.

– Jak uporam się z nauką... Bywaj, Roxanne. – odpowiada Piękna.

– Bywaj. – po ostatniej sylabie mój głos łamie się.

Ściskam boleśnie powieki, nie chcę otworzyć oczu. Z moim telepiących się rąk wysuwa się słuchawka telefonu. Nie czułam tego jeszcze. Czy to, co teraz czuję to ból? Jeśli tak, to rozedrgał on każdą najmniejszą komórkę mojego ciała, kiedy opowiadałam o Lesie.

– Mogę zostać z Tobą na noc, Suzanne? – mówię w przestrzeń – Moje noce są bez ciebie tak bardzo samotne.

Zwijam się w kłębek na tapczanie, z pod zamkniętych powiek prócz ciemności otaczają mnie jeszcze sine kręgi światła, ponieważ powieki zaciskam zbyt boleśnie. Moim ciałem nadal

rzędzą konwulsje. Podnoszę do palących policzków ręce, czuję chłód: rozcieram go na palcach. Jeszcze nigdy nie płakałam, więc czy tak wyglądają łzy.

– Ten świat to nie czas i nie miejsce. – poucza mnie.

– To ten świat jest czasem, Barthelemy?

Słyszę huk skrzydeł, co uderzają o powietrze.

Matowe, dudniące odgłosy; kruche kształty mącą chłodny tlen i roztrzaskują azot. Uderzają o luźno rozrzucone atomy. Przekształcone ręce obijają się głucho – niczym w tańcu – o przezroczyste szyby okien. Połamany niby-ogonami badają fakturę moich lekko uchylonych w podzięcie warg. Wlatują potem w szale Flémbe* do pomieszczeń. Zataczają nierówne okręgi pod żyrandolem niezrozumiale dla mnie. Wylatują z szaf i ze stołków.

Czuję, że było to już niegdyś. To tak, jakby powtarzały się te same momenty. Czyżby ktoś się omylił? Zakazano mi się odwracać i patrzeć wtedy przez ramię, a czułam, że ktoś właśnie za nim stoi. I patrzy. Czuje, że On znów mnie obserwuje. Rzucona jestem tu, tak jakby... na pastwę. On śledzi nawet mój oddech. Mogę powiedzieć, że wiem jaki on jest. Nie jest ani zły, ani dobry z zadziwiająco prostego powodu:

Zła i dobra nie ma.

– Masz rację, Kochana – mówi moje serce.

– Ten świat jest czasem – odpowiadam na swoje pytanie.

– Powiedz, ile godzina ma minut?

– Bariera czasu nie istnieje – nucę słowa naszej piosenki. Nie, ja nie jestem wariatem.

Pochylając się do przodu, a kiedy moje włosy już opadają ku podłodze, pozwalam im się dotknąć. Kładą swoje odnóża i czułki na moich biodrach i udach, siadają na plecach. Dotykają barwnymi niby-rękoma miednicy. Gdybym nie wiedziała, że tam są – nie poczułabym ich. Mają nogi zakończone iluzją. Jest tak wyrazista, że kłuje mnie w skórę.

Wyginam z przyzwyczajenia usta w uśmiechu. Jestem Madame Butterfly!

– Przebijesz swoje serce harakiri – mówi Mounsier Joker.

Niemądry – myślę – nie mam harakiri.

Otwieram zaciśnięte w piąstki dłonie.
Zabiję jednego, ponieważ jestem jak motyl.
Niech Obserwator widzi.

Jestem Tete-de-Mort. Mam kruche ramiona, ręce i dłonie przekształcone w przeźrocza skrzydeł. Mam smukłych wiele ogonów, które unoszą się w górze tak jak sznury od latawców. Mam plecy, u dołu których widnieje trupia główka. Mam również wiele par oczu.

– Nie wiem, na co czekasz, Dziecko. – wyrywa mnie z zamyślenia Joker.

Prostując się szybko, strącam z je z mojej skóry. Zrywają się nagle wplątując mi się w włosy, znów zataczają kręgi pod lampą. Chyba przestałam oddychać, więc biorę głęboki oddech. To ciało jest więzieniem dla nich: biorę ostrą szpilę między palce... i nabijam na nią jednego z nich.

A teraz podnosisz się lekko z pod murów, w których żyłaś. Podnosisz się ze zgliszczy. Unosisz się w górę, duszo. Bez szmeru. Otwarłaś szeptem zaryglowane drzwi na oścież i uleciałaś z pod straży zamków. Czy słyszysz tą muzykę tak samo jak ja? Rozlega się ona znikąd i trafia jakby wprost do moich uszu. Afrykańskie bębny wygrywają piękne rytmy, flety nucą melodię, a dłonie same zaczynają klaskać. To mój utwór, przecież znam do niego słowa!

– Policz światy ukryte w źdźble trawy, powiedz: który należy do ciebie? Ile światów skazałeś na zagładę, przesypując...

– Piasek w dłoniach? – kończę.

Słyszę cię wyraźnie, Duszo Motyla, wylatujesz przez okno na siódmym piętrze.

Leżąc porankiem, słucham ciszy.

Nie lubię Paryża za to, że zbyt dużo ludzi zostawia coś po sobie na jednym metrze kwadratowym. Na tych tysiącu centymetrach przenikają się słodkie wonie paryskich kobiet i ostry pot ich mężczyzn. Przestrzeń roni się od pulsującej w nich cuchnącej krwi. Spływa po butach pozostawiając czerwone smugi na metrze na metr kwadratowy bruku.

Zbieram z poduszki moje rude włosy, a one gdy stąpam półnaga przez pokój podchodząc do okna, rozsypują mi się na posładkach.

Ubóstwiam nagość.

Jest kwintesencją Piękna. To doskonałość, która już się stała, a dopiero się staje nie będąc skończoną, w pełni udoskonaloną w jakimkolwiek elemencie. Wierzę, że zawiera w sobie wszystkie chore urojenia. Jeśli ja w coś wierzę, to znaczy, że tak jest. Wypukłe piersi ze skórą jasną, a na nich wrażliwe ciemne plamki i ostające punkty. Zawieszany wzrok na łagodnych wcięciach w talii. Dotykamy ciemnych włosów łonowych, zatapiamy palce w mokrych waginach. Tak, dla ścierwa nagość jest perwersją. Jak można tak sądzić, skoro zawiera w sobie jednostkę bytu?

Można odnaleźć sens brzydkości w Pięknie – Głupcy! Głupie ścierwo i głupia padlina mieszkająca w domach wysokich, gdzie obowiązuje prawo głupców. Z wypisanymi prawami na tablicach: pięć palców na prawą stronę, pięć palców na lewą. Z milionami zielonych banknotów tak samo fałszywych jak piękno ich kobiet. Nędzarze! Lepiej pragnąć wniknąć dogłębnie, do samego dna, lepiej pochłonąć, wykształcić, niż posiadać na własność Piękno Ciała.

Czasami myślę, że szkaradność mojego ciała jest tylko po to.

Nicolas powtarza mi, że kiedyś nadejdzie dzień, kiedy ukrywał już się nie będzie. Gdy nie będzie wymierzał sobie siarczyстых policzków za swoje poglądy. Boję się o niego. Chce porzucić przez to zdolność do strachu i lęku, a przecież to nami kieruje, nic innego. Możemy kpić z głupoty ludzi i patrzeć na nich z pogardą pod jednym warunkiem, jaki sobie będąc dziećmi wzajemnie obiecaliśmy: Padlina się o tym nie dowie.

Nie damy zamknąć się w kaftanie za prawdę, a jeśli się już to stanie, nie będzie wybaczenia. Będziemy wtedy zdolni do zabijania.

Będziemy Mordem.

Będziemy mieć w oczach skrywaną przez lata pogardę. Będziemy unosić się z wyższością i strzelać jadem z ponad dachów i chmur. Będziemy zabijać i nie będzie wybaczenia. Będziemy

dusić kobiety i dzieci za to, co nam zrobili. Będziemy mordować za poste słowa: przecież to sobie obiecaliśmy. Śmieje się donośnie: będziemy bólem, bo ból oczyszcza...

Wczoraj zabiłam motyla. Nabijając go żywcem na szpile, widziałam jak dramatycznie obija skrzydłami o podłogę. Motyle nie mówią, więc nie słyszałam jak krzyczy. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Wczoraj nie byłam Zabójstwem. Chyba przez ułamek chwili miałam przeświadczenie, że samsara obejmuje także te piękne istoty. Nadal tak myślę.

To nie bezkręgowce, a unoszące się zmaterializowane dusze.

Teraz powoli słyszę jak utrwalacz skapuje leniwie do plastikowych misek. Skapuje z mokrych zdjęć. Wysychają powoli przypięte na sznurze zdjęcia Pazia. On, on zawsze będzie żywy.

To ja jestem pustką.

Czuję, że nie wypełnia mnie ani jeden kawałek, ani jedna nić. Nie boję się. Mogę pokonać świat. Nie wypełnia mnie ani jedna cząstka strachu.

– Masz dziury? – pyta moje serce.

– Nie, nie mam dziur. Nie mam dziur ponieważ jestem pustką. Nie wypełnia mnie biel ani czerń. Nie ma żadnego pustego pokoju wewnątrz mnie, więc nie wypełnia mnie ani jeden mój atom. Wypełnia mnie zdolność bezczucia, nicość. Obezwładnia bezwład.

Sądzę, że w tej chwili mogłabym zabić Suzanne. Nie mam ochoty 'ubóstwiać'.

Wiem, że to minie, zawsze mija. Jestem zbyt znużona brakiem wrażeń.

Kto chce mnie widzieć o tej porze? Już przez drzwiami roztaczam odór aury *Je ne puvoir pas envie*.

Gabriela Dulian

Dariusz Romanowski

„Treści i formy wypowiedzi literackich na łamach *Kłósów*”.

Powodzenie czasopisma na rynku prasowym i czytelnictwem było w znacznej mierze uwarunkowane atrakcyjnością pomieszczanych na jego łamach tekstów literackich. Redaktorzy „Kłósów” doskonale zdawali sobie sprawę, iż czytelnik oczekuje od prasowych nośników informacyjnych nie tylko faktów, wydarzeń i opinii, ale również interesującej lektury. Kształtując program literacki pisma jego twórcy musieli pogodzić dwa na pozór sprzeczne czynności: wymagania potencjalnych czytelników oraz możliwość kształtowania ich gustów literackich.

Nie należy zapominać, iż teksty literackie były niejako dopełnieniem publicystyki, felietonów, artykułów i recenzji pomieszczanych w piśmie, pozostając z nimi w ścisłej korelacji. Tak więc treści literackie utworów ukazujących się na łamach czasopisma były programowo zgodne z założeniami ideowymi jego twórców i współpracowników.

Czasopismo ilustrowane tygodniowe „Kłosy” pomieszczało na swych łamach teksty literackie w całości, w odcinkach bądź we fragmentach.

Najczęściej wykorzystywano w tym celu przedruki, chociaż, jak wykazała przeprowadzona kwerenda prasowa, nie należały również do rzadkości teksty nadesłane i pisane na zamówienie redakcji pisma.

Z reguły odpowiednim gatunkiem literackim było przypisane stałe miejsce lokalizacji. Powieści, dłuższe opowiadania i dramaty gościły zwykle na pierwszych, zaś krótkie opowiadania, nowele i wiersze na dalszych kolumnach pisma.

Czasami zdarzało się jednak, iż utwory liryczne pojawiały się na stronie tytułowej periodyka. Stronę tą często zajmowała też wkomponowana w druk drzeworytowa ilustracja. Należy także dodać, iż wraz ze wzrostem ilości zdobiących czasopismo ilustracji, od roku 1870 nagminne stało się niepraktykowane do tej

pory przerywanie ciągłości utworu literackiego jedną lub dwoma stronicami zajmowanymi w całości przez drzeworyty.

To tyle tytułem wstępu. Przejdźmy teraz do zasadniczej części rozprawy, a więc do omówienia kwestii formalnych i treściowych związanych z literaturą polską na łamach „Kłosów”.

Dla większej przejrzystości pracy analizę tekstów literackich przeprowadzimy w 3 odrębnych podrozdziałach poświęconych kolejno: prozie narracyjnej, poezji i utworom dramatycznym. Dokładne informacje bibliograficzne dotyczące tytułów utworów literackich wymienionych w poszczególnych podrozdziałach można znaleźć w spisach utworów polskiej literatury pięknej opublikowanych na łamach pisma, załączonych do każdego z podrozdziałów.

3.1: Proza

W okresie 25-lecia ukazywania się tygodnika ilustrowanego „Kłosy”, na jego łamach gościło 73 twórców z kręgu literatury epickiej. Spośród tej liczby nie udało się zidentyfikować 8, którzy podpisywali swoje utwory inicjałami, bądź kryptonimami. Ponadto 5 opowiadań ukazało się anonimowo. Na spuściznę literacką pozostawioną na szpaltach pisma złożyło się 47 powieści oraz 101 małych form epickich takich jak: opowiadania, obrazki, nowele, szkice czy zarysy.

Staraniem redakcji tygodnika, było, by druk ukazującego się aktualnie utworu zamykać w jednym roczniku pisma. W przypadku dłuższej powieści nie zawsze było to jednak możliwe.

W historii „Kłosów” 9-krotnie zdarzyło się, iż utwór publikowany w jednym roczniku był kontynuowany w roczniku kolejnym: sytuacja taka miała miejsce w przypadku powieści: Józefa Ignacego Kraszewskiego *Żeliga* (1865/66), *Orbeka* (1876/68), *Dzieci wieku* (1869/70), Adama Pługa *Oficjalista* (1866/67), *Bakalarze – cz. I* (1868/69), Teodora Tomasza Jeża *Uskoki* (1870/71), Jana Zachariasiewicza *Co ich zbliżyło?* (1872/73), Stanisława Krupskiego *Pod skrzydłami Alae Matris* (1878/80), Deotymy Branki w *Jasyrze* (1888/89). Zgoła odmiennie wyglądało to w przy-

padku II i III części *Bakalarzy*, które ukazywały się dopiero w roku 1875, co wyniknęło z choroby, a następnie śmierci żony pisarza, a więc wydarzeń, mających wpływ na opóźnienie procesu twórczej pracy na powieścią, o czym poinformowała czytelników pisma redakcja w roku 1869.

Wymienione wyżej utwory w zestawieniu ilościowym publikacji utworów epickich w roczniku „Kłosów” zamieszczonym poniżej występują zarówno w roku, w którym zaczęły jak i przestały się ukazywać. Musimy zatem pamiętać, iż liczbie powieści określonej w zestawieniu odpowiada w rzeczywistości 47 tytułów.

Tabela 1. Klasyfikacja autorów ze względu na ilość opublikowanych tytułów (proza)

Autor	Liczba tytułów
Marrene – Morzkowska Waleria	12
Kraszewski Józef Ignacy	10
Orzeszkowa Eliza	8
Zachariasiewicz Jan	8
Zielińska Michalina	7
Jeż Teodor Tomasz	5
Kraszewski Kajetan	5
Gawroński – Rawita Franciszek	3
Grzymała Michał	3
Lubowski Edward	3
Pług Adam	3
Zamorska Zbigniewa	3
Ab. X	2
Bałucki Michał	2
F.K.	2
Łoś Wincenty	2
Rodziewiczówna Maria	2

Sarnecki Zygmunt	2
Skarbek Fryderyk	2
Skrodzki Eugeniusz	2
Tokarzewicz Józef	2
Wittówna Jadwiga	2
Wołowski Michał	2
Wójcicki Kazimierz Władysław	1
49 autorów	1
Brak autora	5

Źródło: „Kłosa”. Obliczenia własne.

Przedstawiono kolejno nazwiska autorów i ilość utworów przez nich publikowanych.

Spośród twórców prezentujących prozę narracyjną na łamach pisma największą popularnością cieszyła się Waleria Marrene – Morzkowska. W „Kłosach” ukazało się 12 utworów epickich jej autorstwa. Jednakże na liczbę tą złożyły się tylko 2 powieści (w kolejności chronologicznej wystąpiły: *Augusta* – 1866; *Postąpiłem prawnie* – 1871) i aż 9 krótkich form epickich (*Fragment* – 1865; *Smutna swadźba* – 1877; *January* – 1880; *Ostatnia fala* – 1884; *Sewera* – 1885; *Druga miłość* – 1886; *Tamta* – 1887; *Sielanka warszawska* – 1888; *Potwór* – 1889) oraz 1 fragment (*Złote wesela* – 1888)

Pod względem ilościowym nie wiele ustępował W. Marrene – Morzkowskiej niezwykle płodny literał, cieszący się ogromnym uznaniem czytelników i redaktorów pisma Józef Ignacy Kraszewski. Jego dorobek literacki na łamach tygodnika to 9 powieści (*Żeliga* – 1865/66; *Oróżka* – 1867/68; *Dzieci wieku* – 1869/70; *Bratanki* – 1871; *Krzyżacy. Rok 1410* – 1874; *Grzechy hetmańskie* – 1879; *Kunigias* – 1881; *Psiawiara* – 1884; *Czarna godzina* – 1887) oraz 1 fragment (z *wieczorów na Riwierze* – 1886).

Tuż za wymienionymi wyżej pisarzami uplasowali się z 8 utworami Eliza Orzeszkowa (*Rodzina Brochwiczów* – 1876; *Meir Ezo-*

fowicz – 1878; *Widma* – 1880; *Mirtala, Bez duszy* – 1886, *Z greckich podań* – 1887; *Via Appia* – 1888; *Tytus Kwincjusz Flamiusz* – 1889) i Jan Zachariasiewicz (*Tajemnice serca* – 1868; *Co ich zbliżyło ?* – 1872/73; *Pomyłka serca* – 1874; *Wybór pośta* – 1877; *Sobowtór* – 1878; *W wigilię* – 1886; *Przed Burzą* – 1887; *Szczęście mego sąsiada* – 1889), a także autorka 7 opowiadań Michalina Zielińska (*Strzyga* – 1880; *Czyje na wierzchu?* – 1884; *W wirach Charybdy, Punkt widzenia* – 1887; *24 grudnia* – 1888; *Morskie Oko, Przemówiła* – 1889)

Przyglądając się spisowi twórców gatunków epickich, nie trudno zauważyć, iż dominującą rolę odgrywali w tygodniku pisarze będący jego współpracownikami. To ich twórczość w większości wypełniała kolumny pisma. Niewątpliwie na fakt ten miał również wpływ ich popularność, a także ugruntowana już pozycja na rynku czytelnicy.

Czasopismo literackie, chcąc utrzymać wysoka pozycję na rynku prasowym, musiało – jak już o tym wspomniano w innym miejscu – dbać o to, by prezentować utwory najpoczytniejszych ówczesnych twórców. Ten swego rodzaju komercyjny chwyt spowodował, iż tak głośni w późniejszym okresie, a wówczas dopiero rozwijający literackie skrzydła twórcy powieści i nowel jak Bolesław Prus czy Henryk Sienkiewicz doczekali się publikacji jednego utworu – jak ten pierwszy (*Przygoda Stasia* – 1879) – bądź żadnego – jak drugi.

Treść powieści, nowel i opowiadań pomieszczanych w „Kłosach” oscylował głównie wokół tematyki społeczno-obyczajowej (m.in. *Jeszcze przesąd* Edwarda Lubowskiego – 1869; *Meir Ezołowicz* Elizy Orzeszkowej – 1878; *Przygoda Stasia* Bolesława Prusa – 1879). Utwory te charakteryzowały się swoistego rodzaju tendencją o społecznym dydaktyzmem. Artyzm tekstów schodził niejako na dalszy plan wobec przewodniej utworu. Rzeczywistość kreowana w epickich twórcach polskich pisarzy podporządkowana była prezentacji prawd typowych. Starano się przeforsować u nich charakterystyczne dla doby pozytywizmu idee. Braterstwo, wzajemne porozumienie, społeczna integracja, osiągnięcie celów własną niejednokrotnie ciężką pracą, przy jed-

noczesnym poszanowaniu wartości etycznych to właśnie stanowiło tło pracy społeczno obyczajowej.

Sporo miejsca w tygodniku zajmowały również utwory poruszające problematykę historyczną (m.in. *Derśław z Rytwian* Teodora Tomasza Jeża – 1872, *Rok 1410* Józefa Ignacego Kraszewskiego – 1874; *Pamiętnik znaleziony* – Pawła Sassa – 1885). Fakt ten nie może jednak dziwić, gdyż program ideowy twórców i redaktorów tygodnika obejmował nie tylko zagadnienia związane ze współczesnością ale i zainteresowania tradycją polskiej historii i kultury.

Ponadto proza historyczna, prócz niewątpliwych walorów rozrywkowych, pozwalała na popularyzację wiedzy historycznej, jak i wyzwalała w zniewolonym polskim narodzie poczucie więzi, patriotyzmu i poszanowania przeszłości.

Prócz dominującej na łamach „Kłosów” prozy społeczno-obyczajowej i historycznej znalazło się również miejsce dla twórców prozy współczesnej, co znalazło upust w postaci opowiadań „z prawdziwego zdarzenia” (m.in. *Zart pański* Kajetana Kraszewskiego – 1887; *Dziś i dziś* Antoniny Domańskiej – 1884; *Szczęście mego sąsiada* Jana Zachariasiewicza.

3.2. Poezja

Gatunki poetyckie pod względem ilościowy znalazły największą zwolenników spośród prezentowanych na łamach tygodnika twórców polskiej literatury pięknej. Lirykę reprezentowało bowiem aż 146 pisarzy. Z tej liczby nie udało się ustalić nazwisk 21 poetów podpisujących swoje liryki samym imieniem, inicjałem, kryptonimem bądź pseudonimem.

Mając na uwadze fakt, iż redakcja tygodnika wykorzystywała do publikacji teksty nadesłane przez czytelników, można mniemać, że to właśnie oni byli ich autorami. Ponadto trudne do ustalenia jest autorstwo 5 utworów lirycznych ze względu na to iż, 3 z nich to pieśni, a 2 kolędy ludowe.

Ogółem ilość wierszowanych utworów pomieszczonych w „Kłosach” zamyka się w liczbie 575. Na sumę tą złożyły się nie tylko wiersze, ale i fragmenty poematów np. Teofila Lenartowicza *Fra*

Angelico di Fiesole (1889), czy też cykle poetyckie „in. Marii Konopnickiej *Z łąk i pól* (1881). W przypadku fragmentów i cykli ukazujących się w kilku numerach pisma przyjęto zasadę 1-krotnej rejestracji w zestawieniu ilościowym.

Ilościowa analiza tekstów lirycznych nie uwzględnia ogromnie popularnych w 2 połowie XIX wieku przekładów i parafraz – utworów pisarzy obcych – zaliczanych do literatury powszechnej. W parafrazach liryki obcej celowali zwłaszcza: Aleksander Michaux, Adam Pług, Wiktor Gomulicki oraz Klemens Podwysocki.

Tabela 2. Zestawienie ilościowe publikacji utworów lirycznych w poszczególnych rocznikach za lata 1865-1890

Rok	Utwory liryczne
1865	22
1866	9
1867	11
1868	22
1869	37
1870	50
1871	22
1872	29
1873	11
1874	15
1875	24
1876	18
1877	30
1878	18
1879	25
1880	20
1881	23
1882	25
1883	9

1884	20
1885	26
1886	13
1887	39
1888	20
1889	30
1890	7
Ogółem	575

Źródło: „Kłosy”. Obliczenia własne

Z przeprowadzonej kwerendy prasowej wynika, iż twórczość polskich poetów każdego roku gościła na łamach pisma.

Najmniej, bo tylko 7 utworów pojawiło się w ostatnim roczniku pisma. Należy jednak pamiętać, iż w roku tym ukazało się o połowę mniej numerów „Kłosów” niż w latach poprzednich. Z drugiej jednak strony w pierwszym roku egzystencji tygodnika, w takiej samej liczbie numerów ukazały się aż 22 utwory. Poezja zdominowała łamy magazynu ilustrowanego w roku 1870, kiedy to opublikowano 50 utworów polskich poetów.

Tabela 3. Klasyfikacja autorów ze względu na ilość opublikowanych tytułów (poezja)

Autor	Liczba tytułów
Konopnicka Maria	35
Grudziński Stanisław	30
Michaux Aleksander	26
Pług Adam	26
Podwysocki Klemens	22
Gomułcki Wiktor	20
Lenartowicz Teofil	20
Nowicki Franciszek	17
Asnyk Adam	15

Dobrzański Mirosław	15
Przesmycki Zenon	15
Deotyma	10
Grajnert Józef	10
Syrokomla Władysław	10
Kolankowski Antoni	9
Święcicki Julian Adolf	9
Pilecki Antoni	8
Aspis Bogumił	7
Kuczyński Józef	7
Leja Emilia	7
Odyniec Antoni Edward	7
Gawalewicz Marian	6
Kraushar Aleksander	6
Kulczycki Władysław	6
Bartels Artur	5
Cybulska Józefa	5
Kasprowicz Jan	5
Olizarowski Tomasz	5
Sowiński Leonard	5
Zeitheim Jadwiga	5
14 autorów	4
9 autorów	3
21 autorów	2
72 autorów	1
Brak autora	5

Źródło: „Kłosa”. Obliczenia własne

Pod względem ilości najwięcej utworów ogłoszonych w czasopiśmie bo 35 doczekała się Maria Konopnicka (w kolejności chronologicznej: *Kludia, echa majowe, Wskroś nocy, Ostatnie piosnki, Bóg się rodzi* – 1878; *Z dziejów pieśni, Nie skarż się, Czem jesteś, Jak mi smutno!, w dzień zaduszny, Stara bajka, Fragment* – 1879; *Bądź silnym!, Fragment, Na skrzydłach pieśni, Mojżesz* – 1880; *Urywek, Sclavus Saltans, Kocham cię!, Nadzieja, Ave!, Gor!, Z łąk i pól* – 1881; *Pieśń noworoczna, Fragmenty wiosenne, Z daleka, Nad morzem* – 1882; *Na obcej ziemi* – 1884; *Piosenka* – 1886; *Nad mogiłą, Widzenie, Fragment* – 1887; *Pod nową zorzą* – 1888; *Pieśń o domu, Pamięci Ignacego Domeyki* – 1889).

Tuż za nią z 30 wierszami plasuje się Stanisław Grudziński (*Metamorfoza* – 1872; *Na ostre, Zapomniane kwiaty* – 1874; *Pół wieka, Z rozmowy, Ze wspomnień, Naprzeciwno siebie mieszkali, Czy ty pamiętasz?* – 1875; *O zachodzie słońca, prolog na otwarcie teatru Dobroczynności, Pytanie, Modlitwa jesiennej nocy* – 1877; *Sielanka, Chwile i lata* 1878; *W burzliwą noc* – 1879; *Wierzę!, Czarna chmura, Mała gwiazdka, Sen i życie, Tatry* – 1880; *Muzyka, Słowa matczyne, Nic babiego lata* – 1881; *Trzy uśmiechy, różne zguby, Dola – Lichwiarka, Czem jest życie, Siła ducha* – 1882; *Równowaga* – 1883; *Na cmentarzu* – 1884).

Dwa kolejne miejsca z 26 lirykami zajmują: Aleksander Michaux (*W katedrze gotyckiej, Strącone gniazdko, Powrót do wioski, Bal dziadowski w dzień zaduszny, Wenecja, Ballada, Don Juan* – 1865; *Zastaw pierwszy i ostatni, Sen* – 1866; *Ostatni sen, W szpitalu, Ecce dolor, Smutna bajka* – 1867; *Z wiosennych melodii, Obrazek z natury* – 1868; *Poranni goście, Pieśni ludowe weneckie* – 1869; *Zemsta, Jastrząb i gołąbka, Myśl do posągi, Fragment* – 1870; *Pod biustem poety, Fragment* – 1871; *Po pogrzebie śp. Wiktoryny Bakatowiczowej* – 1874; *Od niepojęty* – 1879; *Amor i dziewczę* – 1887) i Adam Pług (*Do Kazimierza Ostrowskiego* – 1869; *Semiramis, Oplakana Wigilia* – 1875; *Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień* – 1877; *wiosna, Wspomnienie Romanowa* – 1879; *Z życia ptasząt* – 1882; *Gwiazdka*

Bożego Narodzenia – 1883; *Na Zmartwychwstanie Pańskie* – 1884; *Święto umarłych* – 1887; *rok stary, W dzień zaduszny, Bliższa koszula ciała, niżli kaftan* – 1888; *Powrót bocianów, pokój temu domowi* – 1889). Nieznacznie ustępuje im z 22 tytułami Klemens Podwysocki (*Do Słownika* – 1868; *Do natchnionej, Bez tytułu, Serbka w haremie* – 1875; *Lacrymae Rerum, Muza* – 1876; *Bez ducha, Bóg się rodzi!* – 1877; *Nagrobek* – 1878; *Moja modlitwa, W noc majową, Szczęść wam Boże!, Módl się za nami!, Zaduszki poety* – 1884; *Strofy urywane, Antoni Edward Odyniec, Pamięci Jana Kochanowskiego, Hrabia z Hederwanu, Złudy stepa, U bram wieczności, Pieśniarz i świat, Poeta* – 1885).

Przyglądają się nazwiskom poetów uwzględnionych w zestawieniu – podobnie jak w przypadku prozy – nie sposób, nie dostrzec, iż większość z nich to współpracownicy tygodnika.

Jednakże na łamach „Kłosów” można było nie tylko zapoznać się z twórczością współczesnych poetów. Spośród pisarzy z epok minionych najliczniej reprezentowany był Romantyzm. Należy jednak pamiętać, iż tacy twórcy jak chociażby: Wincenty Pol, Tomasz Olizarowski czy Kornel Ujejski w okresie ukazywania się „Kłosów” byli nadal aktywni literacko. Romantykom zdecydowanie pod względem ilości zaprezentowanych na kolumnach pisma wierszy przewodził z 20 utworami Teofil Lenartowicz (*Wierszyk do album J.B., Veder Napoli Epoi Mari!* – 1865; *Na morzu* – 1866; *Dwie dusze, Kalina, O jagodzie, Co chciała zostać jaskółką* – 1869; *Teatr Szekspira* – 1876; *Do C.D., Na obczyźnie* – 1878; *Cierpiący* – 1884; *Prośba* – 1886; *Wierzba, Maciek, A pamiętasz?, Pamięci Józefa Ignacego Kraszewskiego* – 1887; *Zgon Sobieskiego, W albumie...* – 1888; *Do poezji, Sen na podróż do Rzymu, Fra Angelico di Fiesole* – 1889), tworzący jednak na przełomie Romantyzmu i Pozytywizmu, zaś z poetów tworzących wyłącznie w okresie przedpowstaniowym z 10 tytułami Władysław Syrokomla (*Sosna, Pocztylion, Kradzione, Co się przyśni, Kruk, Gawęda o bocianie, Grabarz, Bywało* – 1870; *Korale, Zwierzyna* – 1871).

Wobec reperkusji carskich po powstaniu styczniowym twórczość nawołujących do zrywu narodowo-wyzwoleńczego 3 pol-

skich wieszczów była zakazana, toteż na łamach periodyka pojawiły się zaledwie krótkie liryki ich autorstwa, względem których carska cenzura nie zgłaszała większych zastrzeżeń. Były to mianowicie: Juliusza Słowackiego *Piosnka dziewczyny kozaczej* (1866), *Wiersz do Ludwika Norwida* (1882), *Przypowiadki i Epigramata* (1883), Adama Mickiewicza *Panicz i dziewczyna* (1872), przy czym autorem 1 części utworu jest Antoni Edward Odyniec, 2 zaś twórca *Pana Tadeusza*, *Wierszyk albumowy* (1882) i *Nowy rok* (1887), wreszcie Zygmunta Krasińskiego *Marzenia* (1881).

Poezja poprzedzająca epokę romantyzmu rzadko gościła na łamach pisma. Z kręgu poetów oświecenia opublikowano 3 bajki Ignacego Krasickiego: *Dwa żółwie*, *Baran dany na ofiarę*, *Kulawy i ślepy* (1877), będące inspiracją dla ilustracji Ksawerego Pillatiego, zaś z epoki renesansu utwór Jana Kochanowskiego *Na cześć Stefana Batorego* (1886).

Warto zauważyć, iż w tygodniku ukazały się również wiersze Jana Kasprowicza: *Łabędź*, *Prośba guślarza*, *Różyczko moja!*, *Z pieśni gminnych*, *Z pieśni żałobnych* (1882) oraz Kazimierza Przerwy – Tetmajera: *Z fragmentów* (1889), poetów zwiastujących nowy prąd literacki w dziejach literatury polskiej, a mianowicie modernizm.

Jeśli chodzi o tematykę lirycznych form wypowiedzi, sporo miejsca zajmowała liryka miłosna. Poziom artystyczny „poezji serca” był bardzo zróżnicowany, od utworów wysokich lotów artystycznych (*Bławatek* Adama Asnyka – 1869; *Do C.D.* Teofila Lenartowicza – 1878; *Kocham cię!* Marii Konopnickiej – 1881), po miałkie przesiąknięte tanim sentymentalizmem próbki literackie (*Powiadka bez tytułu* Bogumiła Aspisa – 1868; *Gawęda z dziewczyną* Tomasza Zawadyńskiego – 1870; *Miłość* Kajetana Wesołowskiego – 1872). Łamy pisma wypełniały również wiersze noszące piętno epoki, nawołujące do czynnego przezwyciężenia marazmu i stagnacji poprzez pracę, naukę i wiarę (*Do wiedzy* Bogumiła Aspisa – 1876; *Do pracy* Wandy Lech – 1876; *Bądź silny!* Marii Konopnickiej – 1880). Bardzo blisko nich usytuowane były również utwory moralizatorskie i tendencyjne o cha-

rakterze na wskroś przesiąkniętym dydaktyzmem. Niestety w większości przypadków były to pozbawione artyzmu produkcje literackie (*Świat i życie* Mirosława Dobrzańskiego – 1869; *Metamorfoza* Stanisława Grudzińskiego – 1872; *Kawałek chleba* Zofii Łempickiej – 1880).

Niejako na przeciwnym biegunie znajdowały się liryka refleksyjna i religijno-filozoficzna. Uzewnętrzniający się podmiot liryczny ukazywał w nich własne duchowe przemiany bez zbędnego, zupełnie nie potrzebnego w tym przypadku moralizatorstwa (*Sosna* Władysława Syrokomli – 1870; *Chciałbym...* Wiktora Gomulickiego – 1871; *W dzień zaduszny* Adama Pługa – 1889).

Piękno polskich ziem znalazło odzwierciedlenie w liryce opisowej. Utwory reprezentujące ten typ poezji miały za zadanie prócz uczulenia na piękno rodzimych krajobrazów, wyzwolić w czytelniku poczucie więzi z polską ziemią i zamieszkującymi ją rodakami mimo rozbiorowego rozbicia Ojczyzny (*Tatry* Stanisława Grudzińskiego – 1880; *Na Krywanu* Kazimierza Glińskiego – 1882; *Ranek w górach* Zenona Przesmyckiego – 1883).

Nie należały także do rzadkości wiersze pisane w hołdzie znanym osobistościom polskiej nauki, literatury i sztuki. Utwory te mające apologetyczny charakter pojawiały się przeważnie po śmierci adresata, chociaż niekiedy sławiły również naukowców, pisarzy i artystów jeszcze żyjących (*Do Kazimierza Ostrowskiego* Adam Pługa – 1869; *Kopernik* Antoniego Edwarda Odyńca – 1873; *Pamięci Józefa Ignacego Kraszewskiego* Teofila Lenartowicza – 1887).

3.3 Dramat

Twórcami utworów dramatycznych goszczących na łamach tygodnika było 16 autorów. Ich dorobek to w sumie 25 sztuk teatralnych zaprezentowanych czytelnikom „Kłosów”. Na liczbę tą złożyło się 13 komedii, 7 dramatów oraz 5 obrazków i przysłów dramatycznych. Należy tutaj dodać, iż we fragmentach – ze względu na to, iż były dramatami niedokończonymi – drukowano *Wandę* Mieczysława Romanowskiego (1883) oraz *Zawi-*

szę *Czarnego* Juliusza Słowackiego (1889). Ponadto w roku 1887 ukazała się na łamach tygodnika 4 scena dramatu Kazimierza Zalewskiego *Syn Bogów*.

Tabela 4. Zestawienie ilościowe publikacji utworów dramatycznych w poszczególnych rocznikach za lata 1865-1890

Rok	Dramat właściwy	Obrazki i przysłowia dramatyczne	Komedia	Ogółem
1865	0	0	1	1
1866	0	1	0	1
1867	1	0	1	2
1868	0	0	1	1
1869	1	1	0	2
1870	0	0	2	2
1871	0	0	1	1
1872	0	0	0	0
1873	0	1	0	1
1874	0	0	0	0
1875	0	0	1	1
1876	1	0	1	2
1877	0	0	0	0
1878	0	0	1	1
1879	0	0	2	2
1880	1	1	0	2
1881	0	0	0	0
1882	0	0	0	0
1883	2	0	0	2
1884	1	0	0	1
1885	0	0	0	0
1886	0	0	1	1

1887	0	0	1	1
1888	0	1	0	1
1889	0	0	0	0
1890	0	0	0	0
Ogółem	7	5	13	25

Źródło: „Kłosy”. Obliczenia własne

Z przedstawionej tabeli wynika, że każdego roku w piśmie pojawił się utwór sceniczny. Ani razu dramat nie gościł w tygodniku w 7 rocznikach. Dla równowagi p 2 utwory opublikowano w 7 innych rocznikach czasopisma.

Tabela 5. Klasyfikacja autorów ze względu na ilość opublikowanych tytułów (dramat)

Autor	Liczba tytułów
Koziebrodzki Władysław	5
Bałucki Michał	3
Zalewski Kazimierz	3
Skarbek Fryderyk	2
Chęciński Jan	1
Deotyma	1
Duchińska Seweryna	1
Jeż Teodor Tomasz	1
Lubowski Edward	1
Mellerowa Zofia	1
Puzynina Gabriela	1
Rapacki Wincenty	1
Romanowski Mieczysław	1
Słowacki Juliusz	1
Szymanowski Wacław	1
Zachariasiewicz Jan	1

Źródło: „Kłosy”. Obliczenia własne

Redakcja zaprezentowała aż 5 utworów będących dziełem Władysława Koziębrodzkiego: 4 komedie jednoaktowe (w kolejności chronologicznej: *Zawierucha* – 1867; *Pokusa* – 1868; *Po ślubie* – 1870; *Stryj przyjechał* – 1879) oraz 1 dramat czteroaktowy (*Po śliskiej drodze* – 1867).

Po 3 utwory teatralne dostarczyli „Kłosom” Michał Bałucki i Kazimierz Zalewski. Pierwszy z nich był autorem 3 komedii w tym: 2 czteroaktowych (*Pozłacana młodzież* – 1876; *Krewniaki* – 1879) i 1 trzyaktowej (*Pracowici próżniacy* – 1871), drugi zaś 2 utworów komediowych pięcioaktowych (*Artykuł 264* – 1878; *Wasi zięciowie* – 1886) i 1 fragmentu z tego samego gatunku (*Syn Bogów* – 1887).

Ponadto pojawiły się na łamach magazynu 2 sztuki Fryderyka Skarbka: komedia jednoaktowa (*Lekarstwo* – 1865) oraz obrazek dramatyczny dwuaktowy (*Matka zalotna* – 1866).

Autorami 1 utworu prezentowanego w tygodniku było 12 dramaturgów: Jan Chęciński, Deotyma, Seweryna Duchińska, Teodor Tomasz Jeż, Edward Lubowski, Zofia Mellerowa, Gabriela Puzynina, Wincenty Rapacki, Mieczysław Romanowski, Juliusz Słowacki, Wacław Szymanowski oraz Jan Zachariasiewicz.

Na podstawie danych zawartych w tabeli można stwierdzić, iż repertuar utworów scenicznych ogłoszonych w „Kłosach” pochodził głównie od współczesnych twórców gatunków dramatycznych. Wyjątek stanowią tutaj jedynie autorzy fragmentów dramatów pomieszczonych w piśmie – wcześniej wspomniani – Mieczysław Romanowski (*Wanda* – 1883) i Juliusz Słowacki (*Zawisza Czarny* – 1884).

Literatura dramatyczna prezentowana w tygodniku miała w przeważającej mierze charakter społeczny i demaskatorski. Akcja utworów rozgrywa się zazwyczaj w środowisku mieszczańskim bądź szlacheckim. Piętnują one i ośmieszają pogoń za dobrami materialnymi, nadmierne przywiązanie do godności i tytułów rodowych. Przedmiotem krytyki stają się tutaj także: snobizm, lekkomyślność i niczym nie uzasadniona, zazwyczaj źle zrozumiana ambicja bohaterów utworów (*Hrabina się nudzi* Gabrieli Puzyniny – 1869; *Pracowici próżniacy* Michała Bałuckiego – 1871; *Artykuł 264* Kazimierza Zalewskiego – 1878).

Przewagę komedii nad dramatami uzasadnia fakt, iż była to znacznie łatwiejsza forma dotarcia do czytelnika. Jednakże niejednokrotnie z pozoru dowcipny utwór zmuszał do głębszej refleksji i zastanowienia. Komedia łączyła w sobie bowiem funkcje rozrywkowe i dydaktyczne. Sposób w jaki twórcy starali się więc dotrzeć do czytelnika i tematyka poruszana przez nich w utworach świadczą o tym, iż nie były im obce ważne i niezwykle aktualne problemy życia społecznego.

Dariusz Romanowski

Zbigniew Mirosławski

Scenariusz przedstawienia z okazji 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Prapremiera – Zespół Szkół Plastycznych w Tarnowie, 22 września 2009 r.

Narrator:

Wojna rozpoczęła się w Tarnowie. Ta prawda jest nam mieszkańcom grodu nad Dunajcem i Białą powszechnie znana. To nie tylko tytuł wspomnieniowej książki Władysława Czaplińskiego, absolwenta II gimnazjum i profesora historii na Uniwersytecie Wrocławskim, to także powód do pamięci szczególnego rodzaju. Pamięci faktów i okoliczności o których opowiadali Tarnowianie redaktorowi Ryszardowi Lisowi pracującemu w redakcjach „Gazety Krakowskiej”, „Temi”, ale także w Polskiej Agencji Prasowej.

Z tych opowieści powstał szereg wywiadów, prasowych materiałów o historii II wojny światowej i Tarnowianach, bohaterach opisywanych wydarzeń. Z okazji 70 rocznicy wybuchu wojny redaktor Lis wydał książkę pt. „Niepokonani”. Jest to opis zbeletryzowanych wydarzeń i historii, jakie rozegrały się naprawdę, dlatego 3 aktowe przedstawienie, które za chwilę zobaczymy oparte na poszczególnych rozdziałach wspomnianej książki posiada walor niezwykły.

Stanwią ów walor emocje, towarzyszące nam, kiedy przeżywamy razem z bohaterami tamtych dni ich historię.

Mamy to szczęście, że bezpośrednie zagrożenie życia i zdrowia towarzyszące wszystkim Polakom ze strony hitlerowskich Niemiec i sowieckiej Rosji w każdej chwili od 1 września 1939 roku do 9 maja 1945 roku nam nie grozi. Ale też możemy sobie wyobrazić, co byśmy czuli, gdybyśmy urodzili się wcześniej. Gdyby to na okres naszej młodości przypadł tamten czas.

Kolejność scen ze względów organizacyjnych nie podlega porządkowi chronologii.

Zobaczymy 3 epizody: apel w obozie koncentracyjnym w Auschwitz-Birkenau, scenę z pola walki pod koniec wojny i zamach na dworcu kolejowym w Tarnowie.

Przed sceną z płyty CD odtwarzamy pieśń pt. „Modlitwa obozowa”

Scena I – obóz koncentracyjny w Auschwitz-Birkenau, dzień po przybyciu I transportu więźniów z Tarnowa to jest 14 czerwca 1940 roku.

Narrator: Julia Koziol

Osoby: więzień Staszek –
 więzień Romek –
 profesor Simche –
 SS-man Palitsch –
 kapo z pałką –
 pozostali więźniowie (około 4 osoby) –

Wszyscy w/w ubrani w białe podkoszulki pomalowane w szaroniebieskie pionowe pasy.

SS-man Palitsch – ubrany w skórzaną kurtkę, buty – glany, ewentualnie czapkę z daszkiem wygiętą tak, jak nosili ją SS-mani.

Dekoracja: słupy z drutem kolczastym (mogą być namalowane na szarym papierze przypiętym na parawanach)

Ruch sceniczny podczas Apelu.

Palitsch krzyczy: Raus, Raus, Schnell, Schnell, alles laufen.

Więźniowie wybiegają całą grupą, kapo ustawia ich w szeregu od najwyższego do najniższego, Staszek i Romek stoją obok siebie, profesor Simche na boku.

Kapo wydaje komendy: padnij, powstań – grupa więźniów wykonuje je 4 razy

bieg! – więźniowie biegną powoli dookoła słupa 2 razy okazując duże zmęczenie

padnij, powstań – za drugim razem profesor Simche osuwa się na ziemię

Wszyscy zamierają w bezruchu.

SS-man Palitsch podchodzi do leżącego i udaje że przyciska butem szyję leżącego. Leżący ma drgawki.

Kapo rozkazuje Staszкови i Romkowi wynieść „ciało” profesora. Więźniowie czynią to ujmując leżącego pod ręce i nogi, i wynoszą poza scenę.

Palitsch zarządza ponownie zbiórkę w szeregu i wydaje komendę – Hande hoch! Więźniowie unoszą ręce do góry, Kapo podchodzi raz po raz do opuszczających ręce, najpierw do pierwszego z brzegu, kolejno do „Staszka” i „Romka”, udając zadawanie ciosów pałką. „Romek” symuluje opadanie z sił i 4 razy opuszcza ręce. Za ostatnim razem osuwa się na ziemię, a kapo udaje, że okłada pałką leżącą osobę. Powtarza się wynoszenie „martwego” więźnia przez anonimowych więźniów poza scenę. Po ich powrocie pada komenda – Alles Raus! i wszyscy powoli schodzą ze sceny.

Narrator podsumowuje scenę – tak zamordowani zostali: profesor historii Zdzisław Simche i jeden z jego uczniów.

W trakcie zmiany dekoracji następuje odtworzenie z płyty CD pieśni pt. „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę”.

Scena druga – linia frontu.

Osoby: żołnierze polscy –
 żołnierze niemieccy –
 chłopiec Tadeusz –
 ksiądz –

Żołnierze polscy i niemieccy ubrani w stroje przypominające mundury, np. plecaki „moro”, mają drewniane atrapy karabinów.

Chłopiec ma krótkie spodenki i szelki.

Ksiądz ubrany jest na czarno, ma koloratkę

Dekoracja: Na tle parawanu na papierze lub płótnie namalowane są zielone pagórki, fragment lasu, chmury i częściowo zachmurzone słońce, może być jeden lub dwa tumany wybuchu.

Ułożone tornistry udają linie okopów po obu stronach.

Ksiądz ma przygotowany krzyż wysokości około 150 cm z podstawką umożliwiającą jego postawienie. Jeśli to możliwe ramię poprzeczne krzyża mogłoby być nocowane tak aby krzyż dawało się składać i rozkładać.

Ruch sceniczny:

Aktorzy układają 2 linie plecaków przykryte zielonym sukniem (materiałem), jedną obok kolumny, drugą w połowie szerokości hollu.

Po obu stronach okopów żołnierze skradają się na swoje pozycje, częściowo mogą się czołgać, częściowo zbliżają się do plecaków. Po zajęciu pozycji zaczyna się wymiana ognia, np. okrzyki: „tratata, tratata, pif paf, pif paf” lub nagranie serii km odtworzone z telefonów komórkowych.

Przy parawanie przedstawiającym panoramę pola walki pojawia się ksiądz i chłopiec.

Ksiądz pyta chłopca: „Pójdiesz ze mną?”

Chłopiec odpowiada: „Boję się, tam trwa walka ale pójdę!”

Ksiądz wyciąga zza parawanu krzyż, (ewentualnie jeśli krzyż jest składany) dłuższe ramię stojące na podstawie łączy z ramieniem krótszym i mówi „Chodźmy”, przepuszcza chłopca z krzyżem w rękach przodem, w ręku trzyma wysoko różaniec.

Żołnierze przestają krzyczeć „strzelać” – tratata, tratata, pif paf”. Dowódca żołnierzy niemieckich krzyczy po niemiecku „Nicht schiessen”. Niemcy wycofują się ze swoich pozycji poza scenę. Polacy wychodzą zza tornistrów – „okopów” i podchodzą do księdza i chłopca. Dziękują im za przerwanie walki słowami: „Dzięki Bogu i dzięki waszej odwadze przerwany został daremny już przelew krwi”.

Schodzą ze sceny. Następnie wszyscy usuwają tornistry. Zmieniają płótno na parawanie na inne.

Scena trzecia: Dworzec kolejowy w Tarnowie.

Osoby: Kazik –

Ewa –

dywersant Guzy (z walizką) –

pasażerowie siedzący w poczekalni –

kolejarze –

Dekoracja:

Parawan z płótnem zamalowanym jak ściana dworcowej poczekalni, są tam napisy z 1 strony „POCZEKALNIA” z drugiej

„PRZECHOWALNIA BAGAŻU”, na środku namalowany jest zegar, wskazówki na godzinie 11.15 (23.15)

Ruch sceniczny: Aktorzy zmieniają dekorację tj. płótno na parawanie, wnoszą 2 ławki, plecaki jako podrzny bagaż. Siadają na ławce pod napisem „POCZEKALNIA”.

Do „PRZECHOWALNI BAGAŻU” podchodzi dywersant Guzy i za jedną z ławek zostawia walizkę i wychodzi za kulisy.

Na scenę wchodzi z plecakami Kazik i Ewa. Siadają na wolnej ławce. Kazik mówi do Ewy:

Dialog:

Kazik: „Ja już jestem w domu. Na szczęście tutaj cisza i spokój, a ten rybak z Juraty ciągle mówił o wojnie. Ty na pociąg do Dąbrowy jeszcze musisz poczekać ponad pół godziny. Poczekał z tobą i wsadzę cię do wagonu”.

Ewa odpowiada: „Dziękuję Ci, chociaż mógłbyś już iść do domu. Poradzę sobie”.

Kazik: „Chętnie z Tobą posiedzę, to dla mnie przyjemność nie obowiązek”.

Ewa: „Jestem z Tobą szczęśliwa. Chciałabym, aby tak zostało na zawsze”.

Wybuch może być odtworzony z płyty CD albo może to być krzyk „BUUUUUMMM”, dźwięk bębna?

Siedzący pasażerowie wyrzucają jednocześnie w górę wyjęte z plecaków pomięte kule starych gazet (dość dużo np. każdy 4 „kule”). Kazik udaje upadek z ławki (nie za szybko!, układa przed sobą Ewę, pod jej głową leży plecak – należy zwrócić uwagę, żeby nie było na nim sprzączek, mogących podrapać aktorkę!) i symuluje, że ją okrywa sobą kładąc się przed nią i nakładając na nią rękę. Z ławki „spadają” też inni pasażerowie. Jedna osoba siada jednak na podłodze – jest tylko „rana”. Po krótkiej chwili wchodzi kolejarze, rozgarniają papierowe kule („fragmenty zburzonego muru”), „wynoszą” (wyciągają delikatnie!) pierwszą ofiarę, kolejno wyprowadzają ranną, wracają do kolejnej osoby. Na końcu obracają „ciało” Kazika i wyciągają je poza scenę (delikatnie).

Ewa unosi się sama, udaje płacz, przez łzy mówi: „Kazik, mój Kazik! Nie żyje! Jak to możliwe!”. Schodzi z planu.

Narrator mówi: Obejrzeliliśmy 3 wybrane sceny, ilustrujące autentyczne historie, ta ostatnia nawiązuje do dywersyjnego zamachu na tarnowskim dworcu w dniu 28 sierpnia 1939 roku. Ofiary tego zamachu to pierwsi zabici podczas II wojny światowej. Nigdy więcej wojny.

Wszyscy aktorzy wychodzą z za kulis, stają w szeregu, kłaniają się na umówiony znak podany z prawego skrzydła, mówią: „NIGDY WIĘCEJ WOJNY”

Zapraszamy
na widowisko w trzech aktach
na podstawie książki
Ryszarda Lisa

„**Niepokonani**”
scenografia i reżyseria
Zbigniew Mirosławski

Scena I – obóz koncentracyjny w Auschwitz-Birkenau, dzień po przybyciu I transportu więźniów z Tarnowa to jest 14 czerwca 1940 roku.

Narrator – **Julia Koziół**

Osoby:

więzień Staszek – **Klaudia Szot**

więzień Romek – **Ewelina Świąder**

profesor Simche – **Sławomir Pękala**

SS-man Palitsch – **Tomasz Mentel**

kapo z pałką – **Judyta Chaber**

pozostali więźniowie – **Andrzej Bury**

Joanna Grochola

Daria Ługowska

Scena druga – linia frontu.

Osoby:

żołnierze polscy – **Klaudia Szot**
Ewelina Świąder, Daria Ługowska
żołnierze niemieccy – **Judyta Chaber, Tomasz Mentel**
chłopiec Tadeusz – **Sławomir Pękala**
ksiądz – **Andrzej Bury**

Scena trzecia: Dworzec kolejowy w Tarnowie.

Osoby:

Kazik – **Joanna Grochola**
Ewa – **Daria Ługowska**
dywersant Guzy (z walizką) – **Szymon Ruszel**
pasażerowie siedzący w poczekalni – **Andrzej Bury, Judyta Chaber, Tomek Mentel**
kolejarze – **Klaudia Szot, Ewelina Świąder**

WARTO WIEDZIEĆ

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA im. J. Słowackiego
przy współpracy TARNOWSKIEGO TEATRU im. J. Solskiego
organizuje – prowadzi

Salony Literackie – comiesięczne niedzielne spotkania
z literaturą w Sali Lustrzanej:

1. dn. 25.10. – „Edgar Allan Poe – Księżę Grozy”
2. dn. 29.11. – „Szaleńcy, profeci, demony – sylwetki wybranych postaci w dramaturgii Juliusza Słowackiego”.

2009 – ROKIEM J. BEMA W TARNOWIE

„Ulica Bema w moim mieście” – ogólnopolska wystawa fotografii ulic noszących imię J. Bema – org. Filia nr 18. Wystawa powstała na bazie projektu zakładającego zaangażowanie do współpracy polskich internautów, którzy entuzjastycznie odnieśli się do przedsięwzięcia i wykonali zdjęcia ulicy Bema w swojej miejscowości. Prezentowane na wystawie fotografie, m.in. autorstwa użytkowników portalu digart.pl, charakteryzuje znacząca różnorodność zarówno pod względem techniki ich wykonania, jak i walorów artystycznych.

TARNOWSKI TYDZIEŃ JULIUSZA SŁOWACKIEGO
16-21 listopada 2009

PROPOZYCJE

1. Czytelnia Naukowa, ul. Krakowska 4

Wystawa fotograficzno-tekstowa pt. „Krzemieniec Juliusza Słowackiego”. Komentarz do ekspozycji dla uczniów przedstawiać będzie mgr Ewa Jasiewicz-Kargól, kierownik czytelni. Terminy do uzgodnienia.

2. Wypożyczalnia dla Dorosłych, ul. Staszica 6

Wystawa literacka pt. „Wschód w twórczości Juliusza Słowackiego”.

3. Filia Nr 17, ul. Westerplatte 8a

„Niech żywi nie tracą nadziei” – wystawa literacko-fotograficzna w 200 rocznicę urodzin oraz w 160 rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego.

4. „Słowacki literacko-muzyczny” – blok imprez poetycko-muzycznych:

– **Wielkie Czytanie Słowackiego:** fragmenty tekstów czytają młodzi poeci – członkowie Grupy Młodych Autorów.

Org. Oddział Dla Dzieci i Młodzieży, ul. Staszica 6, dn. 20.11. godz. 10-11

– **Wielkie Czytanie Słowackiego:** fragmenty tekstów czytają zaproszeni Goście

Org. Filie na terenie miasta, dn. 17-18.11. godz. 10-11.

5. Konkursy, m.in. „Dramat Słowackiego w plakacie” – konkurs dla uczniów szkół ponadpodstawowych; **„Bo w tym sercu są wichryce”, czyli w duchu Słowackiego rozmowy o uczuciach**” – ogólnopolski konkursu na krótki tekst dramatyczny. Zakończenie konkursów, impreza finałowa, rozdanie nagród laureatom:

Czytelnia Naukowa, ul. Krakowska 4, dn. 19.11. godz. 11.00.

* * *

O KWARTALNIKU „ZNAJ”

W 2008 roku ukazał się pierwszy numer kwartalnika artystycznego Stowarzyszenia Autorów Polskich **ZNAJ**; Tytuł – Znaj, także jako Znaj SAP to nawiązanie do powiedzenia Czesława Miłosza „Zmarnowanej niedzieli ani jednej”. Pomysł Rady Krajowej realizowany przez redaktora naczelnego, prezesa SAP w Płocku, Krzysztofa Bieńkowskiego, jest udany. Ukazał się właśnie trzeci numer pisma, w którym promowana jest dobra literatura z tużami naszego Parnasu włącznie, vide: Szymborska, Herbert, Zadura, Zaniewski, Urbankowski, Łączkowski, Żuliński, Brudnicki.

Z pisarzy obcojęzycznych swoją obecność już zaznaczyli: Libor Martinek, Ladislav Soldan (Czechy), Hasan Khalaf 'Abdel Hameed, Izzat al-Tyri (Egipt), Rachel Szancer (Izrael), Omar Alawi Nasna (Maroko), Stefano Radelli (Włochy), Andrij Bondar, Wasyl Machno, Dmytro Pawyłyczko, Ostap Sływynski, Illia Strongowski, Serhij Żadan (Ukraina), Vladan Stamenković (Serbia), Jiry Stanek (Słowacja), Yousef Sh'hadeh (Syria).

Każdy numer poświęcony jest postaci, która już ma swoje miejsce w naszej kulturze i wybranemu tematowi. W numerze pierwszym to Zbigniew Herbert i miłość; (grudzień 2008): na 176 stronach 122 autorów, a wśród nich twórcy tarnowscy: Urszula Banaś, Józef Komarewicz, Beata Kuta-Furnaletto, Paweł Mazur, Zbigniew Mirosławski, Anna Mróz, Maria Piec-Łebkowska, Dariusz Romanowski, Danuta Seile-Mirosławska, Anna Szymańczuk i Jerzy Reuter. Dziewięciu spośród nich to autorzy publikujący na łamach „Aspiracji”!

Numer drugi przedstawia Bohdana Zadurę, poetę, redaktora naczelnego „Twórczości” i temat śmierci. (marzec/kwiecień 2009): na 206 stronach, 126 autorów, a wśród nich nasi: Jerzy Barczyński, Józef Komarewicz, Zbigniew Mirosławski, Mariusz Mitera, Maria Piec-Łebkowska, Dariusz Romanowski, Jerzy Reuter, Danuta Seile-Mirosławska, Robert Stańczyk, Anna Szymańczuk i Jacek Tryba.

Numer trzeci otwierają wiersze Wisławy Szymborskiej przetłumaczone na języki: czeski, serbski i angielski. Temat tolerancji ukazany został między innymi w obiektywie wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego, Tadeusza Rolke, współpracującego z gazetami niemieckimi: „Stern”, „Spiegel”, „Die Zeit”, „Art”, z „Gazetą Wyborczą” i „Stolicą”. Jego najsłynniejsze wystawy to: CSW Zamek Ujazdowski w Warszawie, galerie: w Wilnie, Kownie, Berlinie, Trewirze, Hamburgu, Bratysławie, Paryżu, Die (Francja), Oslo i Tokio.

W tym numerze publikują: Zbigniew Mirosławski, Jerzy Reuter i Dariusz Romanowski. Zamieszczono również fotografię Michała Stańczyka ze spotkania z poezją Ewy Lipskiej w Miejskiej Bibliotece w Tarnowie, prowadzonego przez Zbigniewa Mirosławskiego.

Szczególną atrakcją jest, że przeczytać możemy wiersze poetów arabskich w przekładach Yousefa Sh'hadeha, poety mieszkającego w Polsce od 1993 r. i jego żony Doroty Pleśniak Sh'hadeh.

Odrębnym „bytem” jest dołączony do Znaj dodatek „Ahoj”, pismo promujące młodych twórców kultury, który redaguje Maciej Włodarczyk.

Leszczyc

LITERACKA NAGRODA NOBLA 2009

Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za rok 2009 otrzymała niemiecka pisarka **Herta Müller** – ogłosiła Szwedzka Akademia. Werdykt noblowskich jurorów odczytał w Sztokholmie dziennikarzom Peter Englund, sekretarz Szwedzkiej Akademii.

W uzasadnieniu szwedzkich akademików możemy przeczytać, że niemiecka pisarka z „poetyckim wyczuciem i bezpośredniością prozy opisuje losy wywłaszczonych”.

Urodzona w 1953 roku Müller pochodzi z Rumunii. Dzieciństwo i młodość spędziła w kraju komunistycznej dyktatury i tam rozpoczęła karierę literacką (1982 – powieść „Niziny”), szybko przerwana zakazem publikacji. Prześladowana przez władze za odmowę współpracy z Securitate, wyemigrowała do Niemiec w 1987 roku.

Opublikowała kilkanaście książek – powieści, opowiadań i esejów – z których większość dotyczy problemów życia w dyktaturze i biografii autorki. Tworzy też poetyckie kolaże. Jest laureatką wielu nagród literackich.

Źródło: Gazeta Wyborcza

NIKE 2009

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki został laureatem Literackiej Nagrody „Nike” 2009 za tom „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”.

X.

*z językiem trzeba twardo
jest jaki jest kawałek
drewna którym się podpieramy
i posiłkujemy po drodze
lecz nie zawsze szczęśliwie
jest jaki jest i nie ma
cienia wątpliwości że to glina
udręczona tchnieniem
Pana Boga i przez każdego
z nas gdy brak tchu*

XI. Dumka

*jeszcze nie umiem słowa Polska
jeszcze się waham wymówić jednym
tchem Polska i Ukraina Ojczyzna
i Rodzicielka słowo zupełnie bez przyszłości
cóż ono znaczy: Matka w grobach
swoich synów wiedzą o tym
którzy narodzili się wczoraj w dawno
zapomnianych pieśniach bohaterskich
dlaczego jeszcze nie umiem
słowa Polska gdy wielu
zdążyło się nim nasycić
i zadręczać innych*

Źródło: Gazeta Wyborcza

SPIS TREŚCI:

POEZJA:

Filip s. 9-12

„Utnapisztim”, „Magnus?”, „Bóg uczynił deszcz”,
„Zostawiam okulary”

Maksymilian Tchoń s. 12-14

***„barańczak pisał...”, ***„odwołując się...”,
„ab ovo przyjacielu”, ***„pielgrzymka”, ***„teza”,
***„nie tak się wydawało”, *** „wiersz”

Krzysztof Kunisz s. 15-27

„AA”, „Eurydyko, Eurydyko”, „Frustrat”

Izabela Iwańczuk s. 28

„Pierwszy śnieg”, „Ptak”, „Cudom trzeba pomagać”

Adam Rajski s. 29-31

***„Je jabłko...”, ***„Taki już jest uspokojony...”

Daria Tyro s. 32-33

***„Odszedłeś nieznany”, ***„Idą wolno, nie muszą się
śpieszyć...”, ***„Ona...”

Dominika Wianecka s. 34-35

***„powiedz mi co powinnam...”,
***„prosisz mnie, aby twoje kobiety...”,
„Dla Ciebie”, ***„siedzisz i niecierpliwie czekasz...”

Zuzanna Abrysowska s. 35-36

„Potrzeba istnienia”, „Nie tym razem”, „Marzy”,
„Owoc zakazany”

Delilah Panaglima s.37-39

„Niepewność”

Jacek Tryba s. 39-40

„Logika”, „Lekcja morza”, ***„rozumiem wierzyć...”

Dariusz Romanowski s. 41

***„Niosący dobro...”, „Pomiędzy”

Zbigniew Mirosławski s. 42-45

*** „Sosen rzędy...”, *** „Z Wielopola na pół wiele...”,
*** „Pod mostem Hungerford...”

Mariusz Mitera s. 45-46

„oczy mojej siostry”, „miejsca których nigdy”,
„drag(on) lub na dragach”, „narcyz kwitnący”

Krzysztof Maniak s. 47-48

„Nocny seans”, „Pragnąc ciszy”, „Zanim wstanie”

Olga Wałaszek s. 49

„Rapsodia księżycowa”, „Śmierć jest mała”

Urszula Banaś s. 50

„Śmiech”

Monika Chytróś s. 50-52

*** „Nie patrzcie na mnie”, „Niesława”,
„Niemiecki Bóg”, „Na odwrót”

Monika Brożek s. 53-54

*** „Ciągle oczekuję...”, „Jesteś dla mnie”,
„Cisza deszczu”, „Wskazówki”

Oliwia Jarosz s. 55,

*** „Pod pędzący kołowrotek...”, *** „Stoję na strychu...”,
„Tłum”

Paulina Tomaszewska s. 56

„Liście”

Ewa Tomaszek s. 56-60

„Requiem do miłości”, „Miłosne nonsensy”, „Fuga”,
„Miłosne nonsensy II”

Dorota Beniowska s. 60-62

„Nóż”, „Fotografia”, „Otchłań”

Bartosz Baran s. 63

„Droga przede mną”, „Odległe wzruszenia”

Magdalena Lis s. 64-66

***„Zatrzymałam czas...”, ***„Potrzebuję przestrzeni”,
„Reminiscencja teraźniejszości”,
***„Napisałam wiersz...”, „Pastelowa niewiadoma”

PROZA:

Zbigniew Leszczyc Mirosławski s. 69-72

Recenzja: „Pod «gwiazd ławicą» w «rzece ciemności» czyli uczucia zakamuflowane «o krok przed rajem» – wniebowstąpienie słowa w poezji Izy Iwańczuk”

Jacek Knapczyk „Lorius” s. 73

„Thanatos”

Oliwia Jarosz s. 74-76

„Drzwi”

Jerzy Reuter s. 77-78

„Masaj Jakaya”

Gabriela Dulian s. 89-107

„Persefona” (fragment)

Dariusz Romanowski s. 108-124

„Treści i formy wypowiedzi literackich na łamach *Kłosów*.”

Zbigniew Mirosławski s. 125-131

Scenariusz przedstawienia opartego na podst. książki
Ryszarda Lisa pt. „Niepokonani”

WARTO WIEDZIEĆ s. 133

Salony literackie. Wystawy. Tarnowski Tydzień Juliusza
Słowackiego w MBP

Leszczyc, O kwartalniku „Znaj”

Literacka Nagroda Nobla 2009

Literacka Nagroda „Nike” 2009

